ECHA LEŚNE



CZASOPISMO ILUSTROWANE

№ 6 CZERWIEC 1933

T. JASTRZĘBOWSKI

Cena 1 zł. 40 gr.

ECHA LEŚNE

CZASOPISMO ILUSTROWANE

REDAKCJA I ADMINISTRACJA W WARSZAWIE, ŻÓRAWIA 13. TELEFON 9-44-41.

Rok X | Warszawa, Czerwiec 1933 r. | Nr. 6



Kościół św. Jana w Toruniu

PLON ŚWIĘTA LASU

Pierwsze Święto lasu mamy już za sobą. Kiedy w listopadowym numerze Ech Leśnych z roku ub. zapowiedzieliśmy wprowadzenie w Polsce tego święta, nikt zdawało się nie wierzył w możliwość urzeczywistnienia podobnej inicjatywy.

Okazało się jednak, że tęsknota tego święta żyła nietylko wśród Braci leśnej, ale i wśród społeczeństwa. Myśl nasza natrafiła nagle na spontaniczny odruch całego kraju, stała się jakgdyby iskrą, która rozpaliła płomień wspaniałego czynu.

Plonem tego czynu, plonem pierwszego święta lasu pragniemy obecnie podzielić się z naszymi Czytelnikami. Począwszy od zeszytu bieżącego, będziemy drukowali nadsyłane nam sprawozdania z przebiegu obchodów święta lasu oraz związanych z niem uroczystości.

W ten sposób dowiemy się wszyscy, jak i gdzie obchodzono pierwsze nasze święto, a może niejeden pesymista, patrząc na wzruszające obrazki setek i tysięcy zbratanych z lasem dzieci, przekona się, nawróci w porę i stanie wraz z nami do wielkiej pracy o dobro polskich lasów. Zagrzani zaś bijącym z drukowanych tu szpalt pięknym przykładem, winniśmy już obecnie zacząć myśleć o przyszłem Święcie lasu, które przerodzi się niewątpliwie w dzień pracy na rzecz lasu wszystkich obywateli państwa.

ŚWIĘTO LASU W WARSZAWIE

W dniu 29 kwietnia r. b. na terenie całego Państwa obchodzono uroczyście po raz pierwszy w Polsce „Święto Lasu". Znamienna ta data nietylko winna się utrwalić w pamięci ogółu leśników polskich, ale też i zapisać złotemi zgłoskami w historji naszego leśnictwa, wprowadzenie bowiem „Święta Lasu" w kraju, gdzie wszechstronne jego znaczenie i niezastąpione pożytki z lasu nie są należycie doceniane, jest olbrzymim krokiem naprzód w dziele zbliżenia lasu do społeczeństwa. Obchodzone corocznie, zdobędzie ono niewątpliwie w krótkim czasie jaknajwiększą życzliwość i popularność wśród wszystkich obywateli w kraju, a wtedy i lasy nasze staną się wreszcie godnem przypomnieniem rosnących ongiś na polskich ziemiach prastarych puszcz i borów.

Obchód Święta Lasu w Warszawie wypadł wprost imponująco: O godz. 9-tej rano odbyło się nabożeństwo w kościele Św. Krzyża, na które licznie przybyli pracujący w Warszawie leśnicy wraz z pocztem sztandarowym. W okolicznościowem kazaniu kapłan podniósł znaczenie Święta Lasu dla całego kraju. O godz. 11-ej w Ogrodzie Saskim oraz w Parku Paderewskiego posadzone zostały symboliczne lipy, przyczem licznie zgromadzona młodzież szkolna i publiczność wysłuchała okolicznościowych przemówień, wzmacnianych przez megafon. Jednocześne sadzenie lip z udziałem wycieczek szkolnych odbyło się w parkach Praskim i Traugutta.

W południe w sali kina Colosseum wobec około 3.000 osób zgromadzonej młodzieży i nauczycieli odbył się odczyt dyrektora parku narodowego w Białowieży, inż. J. J. Karpińskiego o puszczy Białowieskiej, poprzedzony słowem wstępnem Prezesa Związku Zaw. Leśników, insp. M. Nagabczyńskiego. O godz. 17-ej warszawska radjostacja nadała odczyt p. t. Święto Lasu, wygłoszony przez dyr. Wł. Grzegorzewskiego. O tejże godzinie odczyt pod analogicznym tytułem i urozmaicony przezroczami wygłosił w sali reprezentacyjnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Warszawie prof. Jan Kloska.

W przeddzień święta samolot rozrzucał nad Warszawą ulotki propagandowe, kolportowane jednocześnie przez studentów S. G. G. W. z dwóch udekorowanych samochodów. W dniu „Święta" zorganizowano szereg wycieczek dla młodzieży i społeczeństwa do lasów wawerskich pod Warszawą.

Należy wreszcie podkreślić, że prawie cała prasa codzienna w kraju uczciła również Święto Lasu, zamieszczając artykuły, poświęcone znaczeniu lasów, jako źródłu piękna, wiedzy i bogactwa narodowego.

ŚWIĘTO LASU „ECH LEŚNYCH"

Dla upamiętnienia pierwszego „Święta lasu", Redakcja Ech Leśnych, w porozumieniu z Prezesem Związku T-wa Miłośników Osiedla Gołąbki (p. Warszawą) p. Dr. Władysławem Grabskim posadziła wokół miejscowego cmentarza 150 drzewek topoli niekłańskiej (populus angulata cordata robusta) oraz w różnych miejscach 1.000 sadzonek sosny pospolitej. Wszystkie bez wyjątku topole, jak i większość sadzonek sosny dobrze się przyjęły, co dla bezleśnego osiedla nie pozostanie bez znaczenia.

Sadzonki sosny na polecenie Wicedyrektora Dyrekcji Lasów Państwowych w Warszawie p. W. Biluchowskiego dostarczyło Nadleśnictwo w Drewnicy, zaś topolę niekłańską — Zakłady Wielkich pieców Ostrowieckich w Niekłaniu, za co Redekcja składa na tem miejscu gorące podziękowanie.

„ŚWIĘTO LASU" NA S. G. G. W. W WARSZAWIE.

Święto Lasu zorganizowane przez Oddział Warszawski Związku Zawodowego Leśników Rzeczp. Polskiej, a z inicjatywy czasopisma „Echa Leśne" znalazło żywy oddźwięk w Kole Leśników studentów S. G. G. W. w Warszawie.

Mimo bardzo krótkiego czasu (5 dni) jaki dzielił termin wznowienia wykładów na uczelni po św. Wielkiej Nocy do dnia „Święta Lasu" Zarząd K. L. zdołał zmobilizować 47 członków do pracy w „Święcie".

Część kolegów wzięła udział w propagandzie „Święta", jeżdżąc udekorowanym autem po ulicach Warszawy, roznosząc po mieszkaniach prywatnych i sklepach, afisze i „wywieszki" oraz rozdając wśród przechodniów propagandowe ulotki.

10-ciu kolegów zgłosiło się, jako przewodnicy wycieczek szkolnych do lasów Wawerskich pod Warszawą, a 2-ch do parków miejskich. Ponadto jeden z kolegów wygłosił przemówienie do dziatwy szkolnej na uroczystości sadzenia drzewek w parku im. Paderewskiego.

Na terenie S. G. G. W. ograniczono się w tym roku do urządzenia „Chwilki leśnej" dla studentów I-go roku wszystkich 3-ch wydziałów.

Do zebranych w liczbie około 300 osób przemówił Prezes Koła Leśników Kol. Bogusławski Kazimierz, wyjaśniając cel i podkreślając znaczenie „Święta Lasu" oraz wzywając wszystkich obecnych do współpracy w akcji „Święta".

Pozatem Kol. Bogusławski wygłosił w mat.-przyrodn. gimnazjum p. Wł. Giżyckiego, referat na temat „Las a społeczeństwo", serdecznie przyjęty przez przedstawicieli ciała pedagogicznego z p. Dyr. Giżyckim na czele, oraz ogół młodzieży ośmiu klas gimnazjum.

Tak mniejwięcej przedstawia się udział Koła Leśników Stud. S. G. G. W. w tegorocznem święcie. Zdajemy sobie całkowicie sprawę z tego, że nie wyczerpano wszystkich możliwości, ale na przeszkodzie stał nam: brak czasu i doświadczenia w tym kierunku.

Obecnie Zarząd Koła ogłosił ankietę wśród kol. kol. tyczącej się wad i zalet organizacji tegorocznego Święta.

Sądzimy, że materjał zebrany tą drogą da niejedną cenną wskazówkę i podsunie nowe pomysły przyszłym organizatorom „Święta Lasu" w 1934 roku.

K. Bogusławski.



Jeden z samochodów, rozrzucających w Warszawie ulotki propagandowe w dniu „Święta Lasu"

ŚWIĘTO LASU

na terenie lasów państwowych Małomierzyce (Radomskie).

Nie bacząc na zapłakane niebo już z nocy i wzmożony deszcz od samego rana przy temperaturze +3⁰, o godzinie 9 rano przybyła z okolicznych szkół młodzież z nauczycielstwem na czele, oraz okoliczni mieszkańcy, na teren lasów państwowych, dla wzięcia udziału w symbolicznem sadzeniu lasu.

Wśród gąszczu sosnowego gaju spiesznie urządzono prowizoryczny ołtarz, nadeszła bowiem odpowiedź Kurji Biskupiej, zezwalająca na odprawienie mszy Świętej w lesie pod gołem niebem.

O godzinie 10-ej ksiądz prefekt z Iłży rozpoczął nabożeństwo. Poczem, stojąc u stóp ołtarza, wygłosił dłuższe kazanie o znaczeniu lasu w życiu ludzkości, o jego wpływach na duchowy ustrój człowieka, o bogactwach, jakie ludzkość czerpie z lasu, w końcu o tem, jak ten las należy szanować, pielęgnować i ochraniać.

Trzeba dodać, że zbiegiem okoliczności, tuż obok terenu przeznaczonego do symbolicznego zalesienia, znajdował się zrąb w tym roku wyeksploatowany, na którym leżały jeszcze okorowane na biało kloce sosnowe. Widok ten posłużył księdzu do alegorycznego nawiązania tezy — zaczątku życia i jego końca dla lasu, z życiem i śmiercią człowieka, zaznaczając, ile to pokoleń ludzkich składa się na przeciąg życia tylko jednego pokolenia lasu.

Potem nastąpiła ceremonja poświęcenia przygotowanych do wsadzenia sadzonek sosny i brzozy.

Następnie młodzież, pod kierunkiem zebranych leśniczych i gajowych z nadleśniczym i adjunktem na czele, przystąpiła do sadzenia sosny na specjalnie przygotowanym zrębie o pow. 0,5 ha i obsadzenia stron przylegającej drogi publicznej brzozą.

Dzieci zdradzały żywe zainteresowanie, jak samą uroczystością, tak również i sadzeniem, starając się zapamiętać kto które drzewko wsadził. Przez cały ten czas padał deszcz.

Stamtąd wszyscy zebrani udali się do gmachu szkoły rolniczej, odległej o parę kilometrów, gdzie, piszący te słowa wygłosił odczyt na temat znaczenia lasu dla kultury duchowej, fizycznej i materjalnej narodu.

Dyrektor szkoły rolniczej, w słowach podniosłych, dziękując za odczyt, zaznaczył, że idea zbratania się ludzi z lasem dodatnio wpłynie na duszę człowieka, uszlachetni go, a temsamem wyrwie mu żądło w postaci skrytobójczej siekiery, skierowanej w serce lasu, a który jest przecie bezbronnym.

Lasy tutejszego nadleśnictwa rozrzucone są na terenie dwóch powiatów: Iłżeckiego i Radomskiego. Poza uroczystością opisaną, w pobliżu siedziby nadleśnictwa, poszczególne leśnictwa, znajdujące się w znacznej odległości, również zorganizowały „Święto" w swoich okolicach.

Załączona fotografja przedstawia moment przed zalesieniem zboczów wzgórza nad Wisłą.

Pierwsze „Święto Lasu" wypadło imponująco.

B. Zarzycki

ŚWIĘTO LASU W NADLEŚNICTWIE ZŁOTA WIEŚ

Dzień „Święta Lasu" zgromadził w państwowem N-ctwie Złota Wieś liczną dziatwę szkolną ze szkół wsi Dąbrówka i Studzianki, organizacje Ochotniczej Straży Ogniowej wsi Studzianki i Dąbrówka, oraz okoliczną ludność miejscową.

Zebrani, pochodem udali się do oddziału 206 leśnictwa Horodnianka, gdzie po przemówieniu miejscowego n-czego inż. Jana Jemioły na temat „Znaczenia lasu dla społeczeństwa", dziatwa szkolna i organizacje przystąpiły do symbolicznego sadzenia lasu, a następnie do obsadzenia drogi leśnej pamiątkowemi lipami, nadając im imiona różnych wybitnych osobistości, jak lipa Marszałka Piłsudskiego, Prezydenta Mościckiego, Wieszcza Mickiewicza, Dyr. Rogińskiego, Por. Żwirki, Inż. Wigury, Platerówny i t. d.



Sadzenie pamiątkowych lip przez och. straż ogniową Studzianki

ŚWIĘTO LASU W NADLEŚNICTWIE OSZMIAŃSKIEM

W dniu „Święta Lasu" Nadleśnictwo Oszmiańskie zorganizowało wycieczkę młodzieży szkolnej m. Oszmiany na pobliskie tereny lasów państwowych. Liczne grono dziatwy z zainteresowaniem przyglądało się prowadzonym podówczas pracom odnowieniowym i wysłuchało pogawędki miejscowego nadleśniczego o różnorakiem, a doniosłem znaczeniu naszych drzew i lasów. Gry i zabawy ruchome na wolnem powietrzu — przy pięknej słonecznej pogodzie i dźwiękach szkolnej kapeli — urozmaiciły do reszty pobyt młodzieży na łonie przyrody.

Radość dziatwy z powodu Święta Lasu — w cichej zazwyczaj gęstwinie—rozbrzmiewała długo wesołemi okrzykami i śmiechem, niczem serdeczną podzięką za tę piękną inicjatywę uczczenia naszych lasów, które i ukojenie dają i hart, siłę i zdrowie, bogactwo w czasie pokoju i ochronę w czasie wojny, i szlachetnego piękna odczucie.

Ziarno zrozumienia i umiłowania lasu w ten dzień świąteczny zostało posiane. Miejmy nadzieję, że wzrastać będzie i krzepnąć z roku na rok, zataczając coraz szersze kręgi.

k.

ŚWIĘTO LASU W BATALJONIE „DAWIDGRÓDEK"

Dnia 29.IV, obchodziła cała Polska po raz pierwszy od uzyskania niepodległości „Święto Lasu". Święto to miało wpoić we wszystkich obywateli przekonanie, że obszary leśne Polski, pokrywające ⅕ część jej powierzchni — to jedno z najpotężniejszych bogactw narodu, to jedna z podstaw bytu, siły i rozwoju gospodarczego kraju, to siedziba licznych zwierząt i ptaków, wreszcie ozdoba kraju. Żaden obywatel nie może obejść się bez codziennego użycia jakiegokolwiek przedmiotu, któryby swego istnienia nie zawdzięczał tej niewyczerpanej skarbnicy bogactw, jakiemi są lasy.

Święto lasu obchodził bataljon „Dawidgródek" na terenie 2-ej kompanji. Urządzeniem uroczystości zajął się nadleśniczy Gocel. Udział wzięła dziatwa szkolna z Chutorów, Rubrynia i Worociec, „kopiści" z pobliskiej strażnicy i oddział Zw. Strz. z Rubrynia. Po modłach zakonników i pouczeniu przez nadleśniczego, jak należy szanować i ochraniać las i jak przesadzać drzewa, odbyło się uroczyste sadzenie brzózek na obszernej polanie przed kaplicą unicką w Chutorach Merlińskich.

ŚWIĘTO LASU NA TERENIE L-TWA PORAJ

Obchód wykonano na skutek porozumienia się wice-prezesa Zarządu Oddz. Częstochowskiego Z.Z.L. R.P. p. inż. Stefana Rzepeckiego z sekretarzem tegoż Zarządu p. Mikołajem Dowhylukiem w myśl art. „Święto Lasu" w „Życiu Leśnika" Nr. 3 z m-ca marca 1933 r.

Obchód zorganizował i kierował nim wymieniony wyżej leśniczy M. Dowhyluk przy udziale ks. proboszcza Augustyna Kantochir z Choronia i kierowników szkół: p. Jana Wylęga z Poraju, p. Romana Prostackiego z Biskupic i p. Piotra Wilczyńskiego z Choronia.

W obchodzie wzięli udział oprócz wymienionych wyżej osób:

a) 3 szkoły powszechne: z Poraju (330 dzieci), z Biskupic (187 dzieci) i z Choronia (120), razem 637 dzieci pod kierownictwem 8 nauczycieli, nie licząc prefektów i kierowników szkół;

b) robotnicy z L-ctwa Poraj — około 130 ludzi;

c) okoliczni mieszczanie — 120 ludzi;

d) przedstawiciel Nadl. Olsztyn, p. Eugenjusz Grabowski;

e) personel służbowy L-ctwa Poraj;

f) orkiestra ze wsi Choroń.

Razem około 900 ludzi.

Zarys programu obchodu obejmował:

1) Poświęcenie zebranych przez ks. proboszcza i miejscowe władze leśne.
2) Odśpiewanie hymnu narodowego przez młodzież szkolną.
3) Przemówienia dotyczące lasu i „Święta lasu".
4) Wiersze o lesie.
5) Pieśni.
6) Poświęcenie drzew, nasion, „Szkółki Święta Lasu" i sadzenie drzewek.
7) Gry, zabawy i dożywianie dzieci.
8) Pożegnanie lasu.

Na miejsce obchodu wybrano las, stanowiący mieszaninę dębu, sosny i świerku, obok półhektarowego rozsadnika, w którym wydzielono 4 zagoniki i przeznaczono je na „Szkółkę Święta Lasu". Przy wejściu do tej szkółki ustawiono bramę i ozdobiono ją girlandami ze świerczyny i świerku, oraz chorągiewkami i sztandarami. U góry na bramie widniała tablica z napisem „Szkółka Święta Lasu". Przed wejściem ustawiono trybunę i przyozdobiono ją podobnie, jak bramę, przed nią brzozowe ławki, dalej stoły i ławki dla muzykantów i do składania naczyń i pakunków.

Zbiórkę wyznaczono na godz. 9.30. O godzinie 5-ej zaczęły nadciągać szkoły, witane muzyką orkiestry i krótkiem powitaniem gospodarza terenu. W międzyczasie nadciągnęli miejscowi robotnicy leśni i okoliczni mieszkańcy.

O godzinie 10-ej przystąpiono do wykonania programu. Leśniczy rozdaje



Dzieci osadników wojskowych i uczenice szkoły powszechnej poznają sposoby sadzenia lasu na kulturach Nadleśnictwa Dubry (D. L. P. Wilno)

wśród nauczycieli jednodniówkę „Las". Zaciekawienie rośnie. Ze względu na krótki termin przygotowania (od dn. 26 do dn. 29.IV). Szczegółów programu nie opracowywano; postanowiono działać ex promptu, trzymając się jedynie kolejności zarysu programu. Dzieciom polecono nauczyć się kto co może i zdąży. Na nauczenie się nowych pieśni nie było już czasu. I pomimo to, nie było ani jednego zgrzytu, ani chwilki zamieszania; wykonywano wszystko tak harmonijnie i uroczyście, że trudno byłoby o lepsze wykonanie, nawet przy dłuższem przygotowaniu się.

Trybuna była ciągle zajęta. Ksiądz proboszcz w oratorskiem przemówieniu upajał dusze słuchaczy czarem i majestatem otaczającego ich lasu. Leśniczy w krótkich, lecz jędrnych słowach starał się wbić w pamięć zebranych wszelkie wartości nietylko drzew, lecz i wszystkich składników, które — zebrane łącznie— tworzą pojęcie lasu. Po nim wystąpiła 8-mioletnia Krysia-Leśniczanka z pięknym wierszykiem „Las" Jagminowej rozpoczęła cykl wierszy o lesie. Poezjom nie było końca.


Święto lasu w Solcu nad Wisłą (N-wo Małomierzyce)


Fot. S. Preobrażeński
Święto lasu w leśnictwie Podzamcze, N-wo Dyminy

Po wypowiedzeniu wierszy i wykonaniu pieśni, wszedł na trybunę p. Jan Wyląg, kierownik szkoły w Poraju, nawiązał do mającej się odbyć uroczystości poświęcenia drzewek i „Szkółki Święta Lasu": „Szkółka ta staje się od dnia dzisiejszego naszą szkółką, tu będziemy siali i przesadzali różnorodne drzewa i krzewy, by po roku, lub po 2 latach zabierać je stąd i zasadzać obok naszych domów i dróg, a tam pielęgnować dalej, aż wyrosną w wielkie drzewa i krzewy. Będzie to żywem świadectwem naszego umiłowania drzew i lasu, dowodem wysokiego poziomu naszej kultury duchowej."

Po uroczystem poświęceniu drzewek (jednolatek świerku, dębu, szypółkowego, akacji i jesionu) i „Szkółki Święta Lasu", przystąpiono do polewania drzewek.

Należy tu podkreślić szlachetny gest mieszkańców wsi Dębowice i Biskupce, którzy na pierwszy apel leśniczego bezinteresownie dostarczyli potrzebną ilość mleka.

Sadzenie drzewek, gry, zabawy i tańce przeciągnęły się do godz. 16 minut 30.

Z trybuny dochodzi donośny głos leśniczego: „To, cośmy zasadzili i zasiali dzisiaj, rosnąć będzie po wszystkie czasy, będzie rosnąć, krzepnąć i utrwalać się w sercach naszych i w sercach przyszłych pokoleń w imię świętego przykazania „Kochaj bliźniego, jak siebie samego" — a las, to nasz bliźni! Dowidzenia za rok, tu, w tem samem miejscu, w tym samym ukochanym lesie! Cześć lasom!"

„Cześć!" — rozległo się po lesie i gromkiem echem odbiło się o czubki wysmukłych świerków, dębów, sosen i poniosło hen do sióstr i braci na najdalsze krańce Rzeczypospolitej.

ŚWIĘTO LASU

na terenie Śląskiego Oddziału Z. Z. L.

Śląsk Górny i Cieszyński, jako tereny zachodnie, a pozatem cechujące się wybitnie miejscowemi własnościami, o tyle też odmiennie może przedstawiają się pod względem potrzeby popularyzo-


Święto lasu w N-wie Złota Wieś



Nauczycielka z Biskupic mówi dzieciom o lesie

wania idei Święta Lasu lub uświadamiania znaczenia lasu dla społeczeństwa.

Uprzemysłowiony Górny Śląsk nietylko przez stykanie się z kopalniakiem, lub przez obowiązujące dawne ustawy, srogo karcące przestępstwa na niekorzyść lasu, ma dla lasu poszanowanie.

Ten uprzemysłowiony Śląsk, często (w miejsce lasu zielonego) dający krajobraz lasu kominów, a w miejsce mglistych tajemniczych oparów leśnych, duszące wyziewy fabrycznego zgiełku, ten sam Górny Śląsk ma poddostatkiem powierzchni leśnej, a zwłaszcza prywatnej; ten sam Górny Śląsk istotnie docenia zdrowotne znaczenie lasu, a przez dość rozwinięty podmiejski i dalszy ruch turystyczny często z lasem styka się i nietylko cenić, ale i kochać go potrafi.

Fach leśnika tu należy do nietylko zaszczytnych i respekt wzbudzających fachów, ale też do fachu, któremu zazdroszczą świeżego powietrza, stłumione w oddechu płuca górnika i hutnika. Kult dla drzewa przydrożnego, drzewo przy domie i szpacznik zawieszony chociażby na żerdzi należą tutaj do równie częstego, jak i zadowolenie wzbudzającego zjawiska.



Leśniczy Dowhyluk (I-wo Poraj) żegna uczestników święta.

A Śląsk Cieszyński. Przecież to piękno Beskidu Zachodniego, to, jak ktoś się wyraził „Ołtarz Ojczyzny naszej" — bo tu przecież praźródła Wisły. Tu Biała i Czarna Wisełka kapryśnie zbiegając po zboczach, ściągają liczne rzesze wycieczkowców i turystów z bliższych i dalszych okolic, kochać muszą ten las, skoro tak licznie go odwiedzają.

A góral istebniański mimo ustawicznych kłopotów szałasowych, przecież w tym lesie widzi płaszcz ochronny, co okrywa tak drogie mu góry, w ciemnym błękicie tych smreków odległych przecież ongiś powstały, a dziś kojarzą się jego, górala, myśli najskrytsze, a jodły wyniosłe pamiętają jakgdyby wyczyny Janosika i dźwięki zbójnickiego.

Tutaj jest las więcej niż lasem, a leśnik, to nie tylko „leśny" człowiek, lecz i tam na Górnym i tu na Cieszyńskim Śląsku oceniany jest i jako ten, co drogiego narówno wszystkim skarbu pilnuje, by nie zmalał lecz wzrósł.

Śląski Oddział stanął przed zagadnieniem uzgodnienia kultu i respektu dla lasu wśród tutejszego społeczeństwa ze świetnością urządzenia „Święta Lasu" Czas, pozostający do dyspozycji, i możliwości tego roku, zgóry nasuwały konieczność ograniczenia się do minimum, tem więcej, że czynniki społeczne jakoteż i miejscowe siły wokalne i muzykalne nastawione były na przygotowanie uroczystości 3-go Maja.

Odbyte w Cieszynie, pod przewodnictwem p. Inspektora Buczackiego 24 kwietnia 1933 r. wspólne posiedzenie Zarządu Związ. Zaw. Leśników p. p. Nadleśniczych i miejscowych urzędników, uchwala skierowanie akcji Święta przedewszystkiem do Szkół. Opiekę nad akcją przekazuje się p. p. Nadleśniczym, poza Cieszynem, w Cieszynie zaś Szkole dla Leśniczych i miejscowym Leśnikom.

Dnia 25 kwietnia na Zamku w Cieszynie odbywa się na zaproszenie Inspektora Lasów Państwowych i pod jego przewodnictwem, przy udziale władz Administracyjnych i Samorządowych, wspólne posiedzenie p. p. Dyrektorów średnich zakładów i pp. Kierowników Szkół po-





Kazanie okolicznościowe i grupa uczestników przed szkółką leśną

PIERWSZE ŚWIĘTO LASU





Fot. R. Kinle

Wycieczka szkolna i zabawy na świeżem powietrzu w dzień święta lasu w Nadleśnictwie Oszmiańskiem





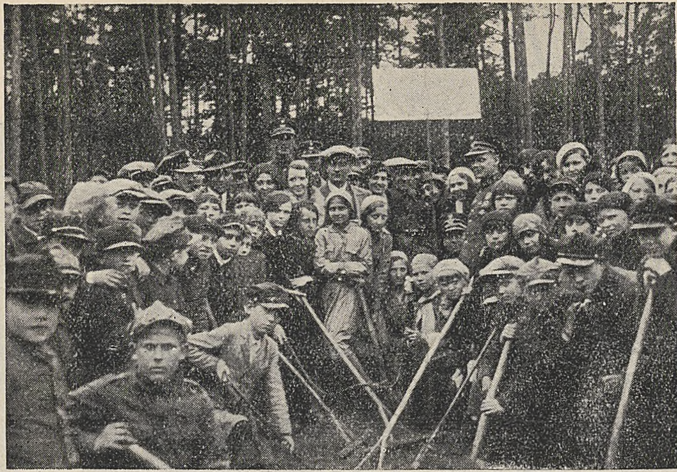
Święto lasu *w Nadleśnictwie Brok*



Sadzenie drzewek przez żołnierzy 2 komp. 17 baonu K. O. P. pod kierunkiem Nadleśniczego p. Gocela



Poświęcenie drzewek posadzonych na terenie postoju batalionu K. O. P. „Dawidgródek"



Grupa uczestników Święta lasu w N-wie Gidle



Młodzież szkoły powszechnej w Gidlach zakłada własną szkołę leśną

wszechnych jakoteż miejscowych leśników.

Zebranie to ustala, iż dzień szkolny 29.IV.33 poświęcony zostanie dla „Święta Lasu", skonkretyzowane zostają kwestje sadzenia drzew, jak również w referacie Kierownika Szkoły dla Leśniczych Inż. Tomaszewskiego ustalone zostają wytyczne szkolnych odczytów w dniu 29.IV.1933 r.

Na terenie działalności poszczególnych Nadleśnictw również akcja święta przybiera formę poświęcenia dnia szkolnego na odbycie nabożeństwa, odczytów i pogadanek w szkołach, sadzenie drzew przy drogach, na zrębach, lub sadzenia symbolicznego drzewa.

Podkreślić należy odmienność miejscową, dotyczącą górskich Nadleśnictw, w formie palenia ognisk na szczytach wieczorem w przeddzień Święta—(N-twa Brenna, Istebna, Wisła), lub wycieczki z dziatwą — (Brenna, Chybie, Haźlach, Istebna, Paruszowice).

Nie brakło również wygłaszanych odczytów przez leśników przed audytorjum starszego społeczeństwa — (Cieszyn, Chybie, Brenna, Istebna, Paruszowiec), lub dzielnie zorganizowanych zabaw (Istebna), skromnych pochodów (Cieszyn).

Wreszcie wysadzono bardzo dużą ilość drzewek — pokaźnych wyrostków przy szosach, boiskach i szkołach. Tak np. Szkoły z Nadleśnictwa Wisła wysadziły 110 sztuk wyrostków przy drogach, Koło Zebrzydowice (lasy prywatne) 130 sztuk, Szkoła dla Leśniczych w Cieszynie — boisko Przysposobienia wojskowego kolejarzy w Cieszynie — 140 szt., symboliczne zalesienie przez młodzież szkolną na terenie Nadleśnictwa Paruszowice (300 sztuk 3-ch letnich jesionów i lip, 2-letniego świerka i modrzewia).

Jako wskaźnik ilości dodatkowo bądź co bądź, poza zalesieniami, wysadzonych drzew może służyć ilość sadzonek, a przeważnie wyrostków wydana ze szkółki Państwowej Szkoły dla Leśniczych w Cieszynie:

Morwy	1.600 sztuk
Grochodrzewiu	2.000
Klonów	450
Świerku	200
Jesionu	250
Złotodeszczu	350
Kasztanów	350
Razem	5.200 sztuk

Ze szczególnem uznaniem podkreślić należy pełen sympatji stosunek nauczycielstwa Śląskiego do idei Święta i udział tego nauczycielstwa w poczynaniach z tytułu Święta. Niemniej przyjaźnie na terenie poszczególnych Nadleśnictw ustosunkowało się duchowieństwo.

Z łam Ech Leśnych brzmiące szczerością podziękowanie wszystkim osobom i organizacjom, które przyczyniły się do uświetnienia dnia „Święta Lasu" — 29.IV.1933 r., — to podziękowanie rękojmią niech będzie, że las poszumem liści na wiosennie umajonych gałęziach, dziękując tym co o nim pamiętają, z radością czeka przyszłego spotkania się w dniu Święta 1934 roku.

Tezet.

ŚWIĘTO LASU W NADLEŚNICTWIE GIDLE.

Na terenie państwowego Nadleśnictwa Gidle zorganizowano w roku bieżącym poraz pierwszy Święto Lasu, połączone ze świętem sadzenia drzew.

W Święcie Lasu wziął udział cały personel Nadleśnictwa, młodzież szkoły powszech. im. J. Piłsudskiego w Gidlach z personelem nauczycielskim na czele, oraz przedstawiciele miejscowego społeczeństwa.

Uczestnicy udali się w pochodzie do lasu, gdzie do zgromadzonych przemówił miejscowy nadleśniczy, p. Święcicki, wyjaśniając znaczenie Święta Lasu, oraz zachęcając młodzież do pielęgnowania krzewów, drzew, i upraw leśnych. Po przemówieniu, młodzież szkolna pod kierownictwem fachowego personelu N-ctwa założyła własnemi rękami małą szkółkę leśną, która będzie pozostawać pod opieką młodzieży, i z której to szkółki na rok przyszły będzie mogła czerpać materjał przez siebie wyhodowany do sadzenia. Następnie dzieci szkolne odnowiły sosną małą haliznę, oraz zasadziły wzdłuż drogi leśnej kilkanaście jesionów.

Prace te wzbudziły wśród młodzieży szkolnej oraz przedstawicieli społeczeństwa nader żywe zainteresowanie i zadowolenie.

Obchód Święta Lasu zakończono ćwiczeniami harcerzy i zabawą leśną.

S.

ŚWIĘTO LASU W ŁUCKU

Dnia 29 kwietnia 1933 r. staraniem Nadleśnictwa Łąck, oraz miejscowego Koła Z. Z. L. w Łącku, odbyły się na terenie leśnictwa Podgórze imprezy, związane z obchodzonem w tym dniu w całej Polsce „Świętem Lasu". Na zaproszenie Komitetu Organizacyjnego w osobach Nadleśniczego inż. Jana Hiszpańskiego, leśniczego Franciszka Stępniaka i sekretarza Bogumiła Horeckiego, w obchodzie „Święta Lasu", wzięła udział, oprócz miejscowych leśników, młodzież wszystkich średnich zakładów naukowych z Płocka w liczbie około 700 osób i młodzież z 5 szkół powszechnych z okolicznych wsi w liczbie około 500 dzieci.

Ponadto wśród przybyłych na obchód gości znajdował się p. Starosta gostyniński Libucha, oraz przedstawiciele miejscowych władz policyjnych, kolejowych, pocztowych i państwowego Stada Ogierów w Łącku.

Zgromadzonych przed stacją kolejową w Łącku uczestników powitał p. Nadleśniczy Hiszpański w krótkiem inauguracyjnem przemówieniu, poczem na głos fanfary udano się do pięknie przystrojonej, obszernej altany. Tam na wzniesionych wśród lasu ławach zajęto miejsca, by wysłuchać wzruszającej przemowy sekretarza Nadleśnictwa p. Bogumiła Horeckiego. Dzięki jego wzniosłym i przepięknym słowom zebrani należycie mogli ocenić znaczenie lasu dla społeczeństwa i dla państwa.

Przemowa ta wywarła na słuchaczach bardzo silne wrażenie i wzbudziła powszechny entuzjazm, porywając swą bezpośredniością i mocą wszystkich bez wyjątku, od najmłodszego do najstarszego słuchacza.

W dalszym ciągu programu, reprezentanci młodzieży zasadzili w uprawach leśnych aleję klonową. Następnie obok przystanku kolejowego „Łąck" u wylotu linji ostępowej odbył się uroczysty akt odczytania i zakopania dokumentu obchodu pierwszego Święta Lasu, a urzędnicy i funkcjonarjusze leśni zasadzili na tem miejscu pięć lip.

Przemówienie Dyrektora Wróbla i odjazd młodzieży szkół średnich do Płocka zakończyły pierwszą część obchodu.

Na część drugą złożyły się gry, zabawy i podwieczorek dla dziatwy szkolnej, oraz tańce. W miłym nastroju spędzono czas do wieczora na wspólnej zabawie, której wspomnienie zapisze się w pamięci uczestników „Święta Lasu" niezatartemi głoskami.

Podkreślić tu trzeba nader życzliwe stanowisko władz szkolnych powiatu gostynińskiego, jako też pp. Dyrektorów i nauczycieli szkół średnich z Płocka,

dzięki poparciu których święto wypadło w tutejszych stronach tak imponująco.

Entuzjazm, który podczas całego obchodu ani na chwilę nie opuszczał rozpromienionych buziaków obecnej dziatwy i młodzieży szkolnej najlepiej nas przekonał o nieocenionem znaczeniu propagandowem „Święta Lasu".

Koło Łąckie Z. Z. L. Rz. P.

ŚWIĘTO LASU W POZNANIU

W dniu 29 kwietnia b. r. o godz. 14.20 odbył się w szczelnie zapełnionej, zwłaszcza przez młodzież szkolną, sali kinoteatru Metropolis, uroczysty obchód „Święta Lasu", zorganizowany przez Dyrekcję Lasów Państwowych w Poznaniu, Związek Zawodowy Leśników w Rzeczypospolitej Polskiej, Okręgowy Komitet Państwowej Ligi Ochrony Przyrody w Poznaniu, Pana dziekana Wydziału Rolniczo-Leśnego Uniwersytetu Poznańskiego, oraz Koła Leśników Uniwersytetu Poznańskiego.

Po odegraniu hymnu narodowego inspektor lasów państwowych p. A. Zwolanowski we wstępnem słowie wyjaśnił cel i zadanie „Święta Lasu", jako propagandy wśród społeczeństwa idei leśnej i miłości przyrody ojczystej, przyczem zaznaczył, że Święto to będzie się odtąd odbywać corocznie. Następnie omówił wielkie i niezastąpione niczem znaczenie lasów dla gospodarki społecznej, zdrowia narodu i obrony Państwa. Zkolei p. H. Cieszkowska, artystka Teatru Nowego, b. pięknie zadeklamowała trzy wiersze: „Drzewa" Ejsmonda, „Las" i Rozmiłowała się ma dusza" Kasprowicza. Następnie prof. Uniwersytetu Poznańskiego p. A. Wodziczko wykazał na podstawie danych statystycznych, że Polska, wbrew temu, co się zazwyczaj słyszy i mówi, pod względem bogastw leśnych stoi na granicy samowystarczalności, że zatem ogólną troską społeczeństwa i czynników miarodajnych winno być szanowanie lasu i niedopuszczanie do zmniejszania się jego powierzchni. Ponieważ lasów pierwotnych, t. zn. nie zmienionych przez gospodarkę ludzką, jest coraz mniej, przeto, rząd polski, chcąc zachować ich nieporównane piękno i wartości naukowe, tworzy rezerwaty i parki narodowe, w których wszelka gospodarka ludzka jest całkowicie wyłączona. W ten sposób powstał wielki Park Narodowy w Białowieży, Park Narodowy w Pieninach i kilku innych mniejszych. W okolicach Poznania Ministerstwo Rolnictwa stworzyło półrezerwaty w Puszczykowie i Ludwikowie, co do których istnieje zamiar przekształcenia ich w przyszłości w Wielkopolski Park Narodowy. Prelegent zaznaczył, że ludność wielkich miast, ze względu na brak w nich warunków zdrowotnych, degeneruje się już w trzecim, lub czwartem pokoleniu i dlatego jedną z najważniejszych trosk winno być zakładanie po miastach jaknajwięcej ilości parków, zieleńców, kwietników, które oczyszczają i odświeżają powietrze. Mówca nawołuje do upiększania osiedli i dróg przez obsadzanie ich drzewami, krzewami i kwiatami, przez co podniesiemy piękno naszego krajobrazu, naszej ojczyzny i przywiążemy się do niej jeszcze mocniej.

Po odegraniu przez orkiestrę wojskową 58 p. p. pieśni leśników „Hej, hej do kniej-!", wyświetlone zostały dwa propagandowe filmy leśne. Na zakończenie



„Młody las" — uczniowie państwowej szkoły dla leśniczych w Cieszynie przygotowują materjał do sadzenia



Inspektor lasów inż. Buczacki i śląska szkoła dla leśniczych w gościnie u kolejarzy z okazji obsadzania boiska kolejowego P. W.



Po spełnionym obowiązku hołdu dla drzew — wspólne zdjęcie organizatorów Święta lasu na terenie Oddziału Śląskiego Zw. Leśników

chór „Hasło" odśpiewał kilka pieśni zastosowanych do uroczystości.

Należy podkreślić wysoce obywatelskie stanowisko właściciela kinoteatru Metropolis, p. Jana Łuczaka, który z całą gotowością oddał bezinteresownie do dyspozycji Komitetu Organizacyjnego „Święta Lasu" salę wraz z całem urządzeniem, oraz personel do pomocy przy dekoracji sceny. To też Komitet czuje się w miłym obowiązku podziękować najserdeczniej na tem miejscu p. Janowi Łuczakowi za jego życzliwość dla „Święta Lasu", które inaczej nie mogłoby wypaść tak imponująco.

Równocześnie dziękujemy wszystkim tym, którzy bezinteresownie przyczynili się do uświetnienia „Święta Lasu", w szczególności: władzom wojskowym za dostarczenie doskonałej orkiestry 58 p.p., p. H. Cieszkowskiej za śliczne deklamacje oraz chórowi „Hasło" za piękne śpiewy.

Komitet Organizacyjny „Święta Lasu"

„ŚWIĘTO LASU" W KRAKOWIE

Po otrzymaniu pisma z Zarządu Głównego Z. Z. L. miejscowy Zarząd Oddziału odniósł się do Dyrekcji Gimnazjów i Szkół Powszechnych, oraz leśników zamieszkałych na terenie tut. Oddziału o urządzenie „Święta Lasu", zalecając jago program tego obchodu nabożeństwo, uroczyste sadzenie drzew i odczyty, oraz pogadanki w szkołach.

Uroczystości takie odbyły się w Krzeszowicach, Tenczynku, Niepołomicach, N. Targu, Żywcu, Myślenicach. Odłożono zaś uroczystość tą na dzień 15 maja w Tarnowie i Zakopanem. W Zakopanem z powodu niemożliwości przeprowadzenia sadzenia drzew wskutek dużej jeszcze pokrywy śnieżnej.

Na wyróżnienie zasługuje obchód w Nowym Sączu, zorganizowany przez tamt. K. O. L. inż. Monseu, gdzie odbyto cały szereg odczytów w szkołach miejscowych i po nabożeństwie urządzono wycieczkę przy udziale 700 osób z pośród miejscowego społeczeństwa i młodzieży do lasów w Piwnicznej.

Podczas wycieczki przeprowadzono sadzenie drzew na terenie nieużytków. Dla wycieczki tej uruchomiono specjalny pociąg N. Sącz - Piwniczna.

Na terenie miasta Krakowa zorganizowaniem Święta zajął się bezpośrednio Zarząd tut. Oddziału, przyczem należy nadmienić, że działalność w tym kierunku skupiła się wyłącznie w ręku kol. prezesa inż. Szromby.

Uroczystość miała przebieg następujący: Nabożeństwo dla szkół z odpowiedniem kazaniem w kościele św. Anny. Wycieczka do pobliskiego lasu na Woli Justowskiej, połączona z sadzeniem drzew, zwiedzaniem rezerwatu „Panieńskie Skały" (gdzie kolega Wyrwiński wygłosił przemówienie) i zwiedzaniem Zwierzyńca.

Po południu wygłosił kolega Szromba odczyt w Domu Żołnierza dla formacji wojskowych.

Prof. Dr. Szafer wygłosił odczyt w sali Instytutu Geograficznego p. t. „Piękno drzew leśnych".

Kol. Wyrwiński wygłosił odczyt w sali Muzeum Przemysłowego p. t. Lasy Polskie i ich znaczenie w ogólnej gospodarce społecznej.

W radjo zamieszczono komunikat o „Święcie Lasu", który wygłosił kol. inspektor Szromba.

„Darz - Bór"

ŚWIĘTO LASU W NADLEŚNICTWIE LIPUSZ

Dnia 29.IV. odbyła się w tut. wiosce uroczystość „Święta lasu" połączonego ze szkolnem „Świętem sadzenia drzewek", zainicjowana przez Nadleśniczego Państwowego P. Czechowskiego ze współudziałem Kierownika Szkoy p. Krupy. O godz. 9-tej odbyło się w kościele parafjalnym uroczyste nabożeństwo, w którem wzięły udział okoliczne szkoły, oraz miejscowe władze leśne i szkolne. Po nabożeństwie odbyła się akademja w szkole powszechnej, którą zagaił p. Kierownik Szkoły, obrazując w krótkim, treściwym referacie znaczenie święta oraz z uznaniem podniósł wysiłki władz leśnych, które przez współdziałanie ze szkołami przyczyniają się znacznie do wzbudzenia wśród społeczeństwa zamiłowania do lasu i przyrody. Nadleśniczy Czechowski wyjaśnił zebranym cele i zadania „Święta lasu", udział, jaki przyjmują w tym święcie władze leśne, oraz Związek Zaw. L. R. P., pozatem omówił znaczenie lasu dla społeczeństwa oraz korzyści jakie przynosi nam las. Akademję upiększyły popisy wokalne dzieci szkolnych, które odśpiewały kilka pieśni. Akademję zakończono wspólnem odśpiewaniem „Roty", poczem zebrani udali się do lasu, gdzie dzieci szkolne pod fachowem kierownictwem urzędników leśnych zasadziły kilkadziesiąt drzewek. Uroczystość zakończyły popisy wokalne i choreagraficzne dzieci szkolnych.

SPRAWA MALUCZKICH

Latem zeszłego roku poruszaliśmy już na łamach miesięcznika „Echa Leśne" sprawę niedoli miejskiego dziecka, które zimę spędza często o chłodzie i głodzie, wśród atmosfery bezrobocia i nagiej, bezlitosnej prawdy, życia, w lecie zaś wałęsa się po zaułkach i asfalcie bruków, napróżno tęskniąc w głębi swej dziecięcej jaźni do tego, co koi, zachwyca, ulepsza i porywa swym czarem — do natury.

I pukaliśmy wówczas — z nadzieją serdecznego oddźwięku wśród czytelników naszych — do tych wielu serc, rozproszonych na terenie pól i lasów Polski, aby zwrócili swój wzrok współczujący ku owym małym, upośledzonym istotkom i ogorzałą, mocną dłoń wyciągnęli ku nim przyjaźnie. Aby w niejednej leśniczówce lub wiejskiej siedzibie mogła latem znaleźć schronienie jakaś mała, zbiedzona, miejska istotka, napróżno rwąca się — całem swem młodzieńczem jestestwem — ku słońcu, kwiatom, zieleni...

Taki bezpłatny pobyt letni jednego lub dwojga biednych dzieci u swych dobroczyńców wśród leśnej przyrody, stanowiłoby ulgę materjalną dla rodziców dziecka w mieście, a dla malców — owych szczęśliwych wybrańców losu z miljona kandydatów — to wzmocnienie fizyczne i wzbogacenie duchowe, to otwarcie wrót do upragnionej swobody wiejskiej i tylu, tylu wymarzonych letnich radości.

Jesienią — na skutek tego gorącego apelu — ufni w reakcję czynną naszych leśnych przyjaciół, oczekiwaliśmy od nich odpowiedzi — zawiadomień o tem, kto i gdzie przytulił u siebie przez lato jedno z tych małych nędzarzy, aby ogłosić tę piękną wiadomość w „Echach" dla przykładu innych.

Niestety! Nikt takiego zawiadomienia nie nadesłał, więc też i wzmianek w tej sprawie w piśmie nie było.

Naprawdę, przykre to niewymownie.

Czyżby nasi czytelnicy — wśród pięknych lasów i kniei — wpatrzeni stale w wiecznie żywy cud natury, zobojętnieli poniekąd na cienie życia tam, zdala od nich, w mieście?

Czyżby stała obserwacja przyrody, gdzie toczy się wieczna, nieubłagana walka o byt, znieczuliła tę iskrę współczucia dla niedoli innych, małych i słabych, czyżby zatraciła chęć wejrzenia i pomocy łzom, bólom i nędzy?

Bo przecież możliwość zaofiarowania letniska, na wsi, czy w lesie dla jednego miejskiego dziecka znajdzie się zapewne w niejednym domu rodzinnym.

Przy większej ilości domowników — jeszcze jedne usteczka dziecięce do nakarmienia nie zrobią zbyt wielkiej różnicy, dach nad głową się znajdzie, a trochę opieki i kierownictwa nad dzieckiem, zwłaszcza jeśli okaże się miłe i posłuszne, będzie niewielkim trudem w porównaniu z dobrodziejstwem, jakie wyświadczy się dziecku, jego rodzicom, a nawet społeczeństwu.

Jeśli dziecko jest trochę starsze i roztropne, może oddawać jakieś drobne usługi w domu, skutkiem czego — wrażliwsze — będzie się czuło lepiej moralnie, że chleba darmo nie je, lub też — skoro jest grzeczne i obyte — służyć może towarzystwem rówieśnikom domowym. Wówczas dziecko zamożniejsze stanie się jakby starszym bratem biedniejszego i nauczy się godnego z niem współżycia.

Słowem gra tu pewną rolę moment psychologiczny, utylitarny i wychowawczy.

Akcja społeczna, podjęta celem niesienia pomocy biednym dzieciom miejskim obejmuje coraz szersze kręgi. Urządzane są zbiórki śniadań w szkołach średnich dla dzieci szkół powszechnych, a odzieży i obuwia w domach prywatnych.

Rzeszę głodujących dosłownie dzieci w szkołach powszechnych dożywiają bezpłatnie różne instytucje, zakłady gastronomiczne i ogniska rodzinne, lub zaofiarowywują składki pieniężne.

Organizuje się żłobki, przedszkola — i świetlice, gdzie wiele dzieci znajduje naukę, opiekę i pożywienie, dzięki ofiarności publicznej i tworzy się kolonje i półkolonje letnie, aby przeciwdziałać chorobom dzieci, których powodem — głód i nędza.

Wszystko to jednak nie wystarcza całkowicie i jeszcze są w miastach setki i tysiące dzieci, oczekujących z utęsknieniem jaśniejszego dnia w ich życiu.

A oto znów nadeszedł maj, zdobny w szatę liljowych bzów i białej czeremchy. W czerwcu zaczną się wakacje i tłum dzieci opuści mury szkolne, a tylko znikoma garstka odetchnie świeżem, żywicznem powietrzem...

Możeby więc tym razem — mili nasi przyjaciele leśni — wlać trochę więcej entuzjazmu w sprawę maluczkich, możeby teraz posłuchać głosu serca i poświęcić temu choć małą chwilkę namysłu?

Odrzućmy ospałość czynu i trochę tego niedbalstwa, które często staje na przeszkodzie wielu naszym pięknym zamierzeniom!

Technicznie sprawa łatwa.

Prawie każdy mieszkaniec wsi ma znajomych w mieście, którzy wskażą dziecko biednej rodziny, zasługującej na poparcie. Można też zwrócić się listownie do szkół lub odpowiednich instytucyj społecznych, a oferta na bezpłatne letnisko, nie pozostanie bez echa.

Jakaż to radość będzie w niejednej suterenie, czy poddaszu, jeśli dziecko otrzyma podobne wezwanie:

„Stasiu, czy Heniu! Możesz przyjechać do nas na lato, do naszych lasów, kwiatów i łąk"...

Zofja Gerwatowska



Święto lasu w Zebrzydowicach

ZAWIADOMIENIE.

Walne Zgromadzenie członków „Spółdzielni Leśników w Warszawie" odbędzie się w dniu 14 czerwca 1933 r. o godz. 17-ej w lokalu Spółdzielni przy ul. Niecałej Nr. 12, z następującym porządkiem obrad:

1. Sprawozdanie Zarządu za r. 1932.
2. Sprawozdanie Rady Nadzorczej za r. 1932.
3. Sprawozdanie Rewidenta Zw. Spółdz. Pol. za r. 1932.
4. Zatwierdzenie bilansu zamknięcia i podziału zysku za r. 1932.
5. Zatwierdzenie preliminarza budżetowego na r. 1933.
6. Ustalenie normy maksymalnego zadłużenia Spółdzielni.
7. Wybór 2 członków i 1 zastępcy członka Rady Nadzorczej.
8. Ustalenie wynagrodzenia członków Rady Nadzorczej i Komisji Rewizyjnej.
9. Wolne wnioski.



Święto lasu w N-wie Paruszowice

PODZIĘKOWANIE.

Wszystkim tym, którzy oddali ostatnią usługę drogim nam szczątkom ś. p. Zygmunta Pełczyńskiego, Leśniczego L-ctwa Dąbrowa, Nadleśnictwa Panki, a w szczególności ks. proboszczowi Włodzimierzowi Rosso, Panu Inspektorowi L. P. Marjanowi Nagabczyńskiemu, Panu Pułkownikowi dypl. Czaplińskiemu, Panu Kapitanowi Ptaszyńskiemu, Częstochowskiemu Odziałowi Związku Byłych Legjonistów, a w pierwszym rzędzie Panu Prezesowi Wacławowi Kobyłeckiemu, Pp. z chóru „Pochodnia", Zarządowi Częstochowskiego Oddziału Związku Zawodowego Leśników R. P. P. współpracownikom N-ctwa Panki, oraz kolegom i znajomym składają serdeczne „Bóg zapłać", z głębi zbolałych serc, żona, syn i rodzina.





Symboliczne sadzenie lip, oraz chwila podpisywania aktu pamiątkowego, w dniu Święta lasu w N-wie Łąck



Pokaz opylania, zagrożonego sówką lasu w Nadleśnictwie Osiek, Dyr. Las. Państw. w Poznaniu

WALKA Z SÓWKĄ W LASACH POMORSKICH

O sówce, jako klęsce naszych lasów, pisaliśmy już na naszych łamach parokrotnie, a nie dalej jak w lipcu roku ubiegłego podaliśmy popularny artykuł pióra L. Pęskiego wraz z ilustracjami.

W związku z masowem występowaniem na wiosnę każdego roku sówki w naszych lasach sosnowych, Dyrekcja Naczelna Lasów Państwowych już od roku 1930 zorganizowała systematyczną walkę z klęską tego groźnego szkodnika. Walkę tę prowadzi skutecznie Zakład Doświadczalny Lasów Państwowych w Warszawie, a dla zaznajomienia z jej sposobami i wynikami odbyła się w dniu 18 maja r. b. specjalna konferencja prasowa, w której wziął udział również i przedstawiciel naszej redakcji.

Z bardzo przystępnie opracowanego i wyczerpującego referatu, który wygłosił kierownik Zakładu p. inż. J. Hausbrandt, podajemy niżej kilka zajmujących szczegółów.

Na wstępie warto przypomnieć, że sówka choinówka (Panolis flammea Schff.) jest to motyl nocny średniej wielkości, barwy rdzawej, występujący masowo co pewien okres czasu przedewszystkiem w ubogich, czystych lasach sosnowych na Pomorzu i w Poznańskiem, oraz w Niemczech.

Uszkodzenia powoduje w lasach gąsienica sówki. Gąsienica ta jest nieowłosiona i ma barwę zielono-żółtą. W stanie wyrośniętym dochodzi do 40 mm długości. Od połowy maja do połowy lipca obżera igły sosnowe, początkowo najmłodsze, a następnie starsze. Drzewa doszczętnie obżarte tracą zdolność do życia, ciężko chorują, a wkońcu, stając się ulubionem żerowiskiem również dla szkodników wtórnych (korników i ryjkowców) mniejwięcej w okresie 2—3-ch lat, giną całkowicie.

W Polsce sówka wystąpiła po raz pierwszy w latach 1921—1924. Powierzchnia, objęta wówczas całkowitym bądź częściowym żerem sówki, wynosiła w samych tylko lasach państwowych Pomorza i Poznańskiego około 120.000 ha, z czego, wobec nieposiadania wtedy odpowiednich środków do zwalczania klęski, musiało być wycięte około 60.000 ha lasów jeszcze niedojrzałych, co oczywiście spowodowało poważne straty natury bezpośredniej i pośredniej.

W Niemczech sówka wystąpiła w tym samym czasie na powierzchni 2-krotnie większej, niż na terenie Polski.

Powierzchnia objęta obecnie klęską sówki (okres 1931—1933) jest mniejwięcej także sama, jak przed 10 laty, wynosi bowiem około 110.000 ha, z czego około 40.000 ha uległoby zupełnej zagładzie, gdyby poprzestano na biernej obserwacji inwazji.

Zwalczanie sówki odbywa się następująco:

1) mechanicznie — przez grabienie od sierpnia do grudnia i składanie na wysokie wały ściółki leśnej (w której układają się poczwarki sówki na sen zimowy), a to w celu spowodowania zagrzania się ściółki i zniszczenia poczwarek,

2) chemicznie — zapomocą opylania drzewostanów zagrożonych przez sówkę, od połowy maja do końca czerwca, preparatami trującemi, w celu zabicia żerujących w tym czasie na igłach sosny gąsienic sówki.

Zorganizowanie akcji zwalczania sówki wymagało skrupulatnego zbadania stopnia niebezpieczeństwa, ustalenia terytorjalnego zasiągu inwazji, a następnie opracowania jednolitego planu walki dla całego zagrożonego obszaru.

Plan ten był referowany na konferencji z udziałem przedstawicieli świata naukowego, którzy określili go, jako dobrze przemyślany, słuszny i celowy.

W myśl tego planu przeznaczono do zwalczania sówki 40.000 ha lasu, zagrożonego żerem zupełnym. Z dwóch sposobów walki (grabienie ściółki i opylanie drzewostanów) pierwszeństwo przyznano grabieniu ściółki, przy tym bowiem sposobie całkowity koszt walki pochłania robocizna. Wygrabiono 25.000 ha. Dotychczas jeszcze historja leśnictwa nie notowała zastosowania tego środka walki na tak wielką skalę w żadnym kraju. Około półtora miljona złotych, wydanych na grabienie, przyczyniło się w niemałym stopniu do złagodzenia klęski bezrobocia na Pomorzu.

Do opylenia przeznaczono tę powierzchnię, której w żaden sposób wygrabić się już nie dało. Wynosi ona 15.000 ha. Opylanie odbywać się będzie w końcu maja i w czerwcu.

Ogólne wydatki na walkę z sówką wyniosą około 3.000.000 zł., z czego ∓ 2.000.000 zł. kosztować będzie robocizna, wykonana prawie wyłącznie przez miejscową ludność, oraz ∓ 1.000.000 zł. zakupy środków chemicznych i aparatów do ich rozpylania, poczynione z konieczności w jedynem miejscu ich produkcji, t. j. w Niemczech.

W razie zaniechania walki, same tylko straty na wartości drewna, jakieby powstały skutkiem przedwczesnego wyrębu 40.000 ha lasu, dałyby olbrzymią kwotę, wynoszącą około 29.000.000 zł., nie biorąc pod uwagę kosztów ponownych zalesień wyrąbanych powierzchni; wreszcie powstałby cały szereg innych, niedających się ściślej określić cyfrowo, strat gospodarczych, spowodowanych ogołoceniem z lasu tak wielkich powierzchni.

Wydatek zatem ∓ 3.000.000 zł., poniesiony na walkę z sówką, zapobiegnie powstaniu ponad dziesięciokrotnie większych strat.

P.



Zmęczeni długą marszrutą, ale pełni wrażeń po dosyć mile spędzonych nocach pod strzechą — walimy „całą parą" szosą Ostrowiec — Łysogóry. Okolica nadzwyczaj sympatyczna i pełna uroku typowego krajobrazu polskiego. Po obu stronach szosy roztacza się malowniczy widok na rozsiadłe w wieńcach zieleni staropolskie białe dworki, obok nich złocą się w słońcu kopicami strzech, umajone sadami — sznury chat wioskowych, lub tu i owdzie przyodziane świeżą szatą wabią turystę zaciszne zagajniki. Lecz celem turysty nie są jeszcze te piękne osobliwości malowniczego krajobrazu, ale coś bardziej przyciągającego do siebie duszę każdego Polaka, to coś — co leży w sercu naszych ziem i jest zabytkiem nietylko geologicznym, ale przedewszystkiem historycznym i kulturalnym.

Są to więc prastare masywy Łysogór, umajone wiecznie szumiącą Puszczą Jodłową Żeromskiego wraz z ukrytym w morzu zieleni klasztorem Świętokrzyskim.

Cel doprawdy godny każdego turysty. To też na widok majaczącego na widnokręgu pasma gór, mimo zmęczenia, niewypowiedziana radość ogarnia znużone członki, dzięki czemu droga coraz bardziej się skręca i upragniony cel się zbliża.

Już tylko na 5 klm. od gór Świętokrzyskich nadzwyczaj miła niespodzianka spotyka turystę. Oto, jak z pod ziemi, po przejściu dobrze utrzymanego lasu, wyrasta malowniczy i romantyczny obrazek dworku polskiego, rozsiadłego na zachodniem zboczu akacjowej doliny, gdzie wiosną i latem pełno jarzy się kwiecia, a dniem i nocą nie milkną zawodzenia rozśpiewanych rzesz słowiczych. Jest to znana w okolicy gór Świętokrzyskich miejscowość Grzegorzowice.

Po przeciwnej stronie wspomnianej doliny, na wzgórku w wieńcu potężnych lip i akacyj, króluje nad okolicą bielą swoich murów cichy wiejski kościołek w stylu romańskim. Jeśli chodzi o jego historję, t. j. on jednym z najstarszych kościołów w Polsce. Według kronik — tutaj właśnie Benedyktyni, przybywający na Łysą Górę w pierwszej połowie X wieku, wybudowali sobie kościół w kształcie obronnej baszty (podobny do tego, jaki przed kilku laty odkopano w Krakowie na Wawelu). Stąd dopiero były podejmowane przez zakonników prace nad wybudowaniem klasztoru na Św. Krzyżu. Jako dowód na to, że tak było, a nie inaczej, może posłużyć następujący fakt. Obecnie kontynuowane są prace nad odnowieniem kościoła w Grzegorzowicach. Po zerwaniu tynku i odkopaniu starych fundamentów zauważono, że kościół ten większość fundamentów i murów ma bardzo starych i wybudowanych w kształcie baszty w stylu romańskim. Cechami charakterystycznemi tej budowli są nadzwyczaj głębokie fundamenta, bardzo grube mury i doskonale zachowane wąskie, podłużne okienka strzelnicze. Z tego wypływa wniosek, że ów kościołek był również miejscem obronnem dla zamieszkujących w nim zakonników. Prócz tego dość charakterystycznem jest owalne okienko o kamiennym witrażu na frontowej ścianie starej części kościoła.

Warto jednak wspomnieć przy tej sposobności, że starannem odnowieniem tej zabytkowej świątyńki z równoczesnem zachowaniem starych murów zajęli się gorliwie — proboszcz tutejszej parafji ks. Laskowski i właściciel majątku Grzegorzowice, p. Rauszer. Zwiedzając Grzegorzowice, należy również zwrócić uwagę na leżące obok nich małe miasteczko Słupię - Nową. Słupia-Nowa jest bardzo starem osiedlem w Polsce i znana była już za czasów Bolesława Chrobrego.

Ciągłe napady Tatarów i Szwedów na klasztor Świętokrzyski zamieniały w ruinę okoliczne osiedla, a najwięcej ucierpiała wówczas Słupia. Przyczem należy pamiętać też o tem, że Słupia spełniała chlubną i piękną rolę w dziejach wzlotów ducha polskiego w dniach niewoli. Tutaj w roku 1863 Langiewicz, Czachowski i inni wodzowie powstania styczniowego byli troskliwie popierani. Stąd, kto żył, chwytał za broń i szedł zasilać szeregi powstańcze. Wreszcie rok 1905 donioslem echem odbił się tu również o wirchy prastarej Puszczy Jodłowej.

Po odpoczynku w Słupi, udajemy się krętą drogą aż do samego szczytu Łysej Góry. Droga pod górę jest dość męczącą, ale wzamian za zmęczenie fizyczne otrzymujemy raj duchowy, jaki nam stwarzają piękne krajobrazy, rozpościerające się u stóp gór Świętokrzyskich. Wspaniałe lasy, a w ich obramowaniu potężne złomy kwarcytu, sterczące po obu stronach drogi, co chwila przybierają nowe kształty, lub odsłaniają w oddali falujące zbożem łany i śmiejące się szmaragdową zielonością łąki. Na drodze tej, po lewej stronie spotykamy figurę kamienną, wyobrażającą klęczącego pielgrzyma. Podanie ludowe nie mogło ominąć tej tajemniczej postaci, to też osnuło o niej wiele legend, z których jedna głosi, że postać owa, zwana przz lud św. Emerykiem, wznosi się stale ku górze, a gdy szczytu dosięgnie — koniec świata nastąpi. Kroniki jednak milczą o tem, kto tę figurę i na jaką pamiątkę w tem miejscu ustawił. Minąwszy dwie bardzo stare kapliczki, tuż zaraz po prawej stronie drogi zauważymy wzgórza ogołocone nieraz zupenie z jakiejkolwiek roślinności — są to tak zwane gołoborza, od których właśnie pochodzi nazwa gór Łysych, albo Łysogór.

Łysogóry są górami kwarcowemi, pochodzą z ery paleozoicznej więc mają przeszło 34 miljony lat). Pierwotnie były to góry o takim wyglądzie, jak np. obecnie Tatry, t. zn. tworzyły jednolite masywy skalne, lecz ząb czasu i wpływy atmosferyczne spowodowały ich zwietrzenie.

Stąd obecny stan Łysogór. O tem skąd się wzięły gołoborza na Łysicy, po swojemu komentuje nawet historyk Jan Długosz, pisząc w swoich kronikach: „Niegdyś górę zamieszkiwali potężni i waleczni olbrzymi, z których kości wielke na hakach i łańcuchach były pozawieszane w świątyni. Obecnie kości te umieszczono naprzeciw wielkich drzwi kościoła.

„Tutaj była niegdyś forteca wielka, murowana, trzema wałami i okopami z kamieni otoczona. Do środka dwie bramy prowadziły. Z tej to fortecy wojska nieprzyjacielskie porażali. Stąd ta góra była wielce sławna i wszystkim nieprzyjaciołom straszna.

„Przy wielkiej fortecy obronnej były zamki i świątynia pogańska, które ogień od piorunów spalił, rozstrzaskał i zrujnował, a kamienie z murów na dalekiej przestrzeni pokryły ziemię i krzewieniu się drzew przeszkodziły".

Na samym szczycie Łysicy wśród morza potężnych jodeł, świerków i buków widnieje osamotniony klasztor Św. Krzyża, mieszczący w sobie wiele zabytków i szczerozłoty relikwiarz z Drzewem Krzyża Św. Miejscowa kronika w następujących słowach podaje historję tej odwiecznej świątyni Pańskiej na Łysogórach:

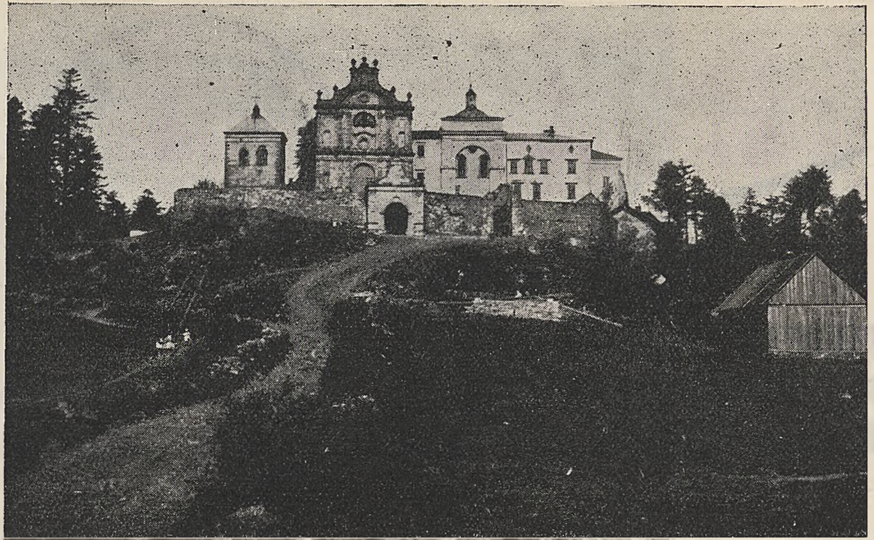
„Kościół na Łysej Górze z wprowadzeniem wiary św. do Polski w roku 966 przez Mieczysława i Dąbrówkę, na miejscu sławnej świątyni pogańskiej dla trzech bożyszcz zbudowanej, ku czci Trójcy Przenajświętszej został wzniesiony, aby tam, gdzie dla potrójnego biesa: Świst, Poświst i Pogoda bluźniono, tam wieczyście Bóg w Trójcy Jedyny, Ojciec, Syn i Duch Święty chwałę bezustanną odbierał.

Najprzód z Dąbrówką przybyło sześciu z Czech Benedyktynów i oni tę fundację otrzymali. Później w r. 1006 Bolesław Chrobry, syn władców poprzednich, a pierwszy król polski, kościół powiększył, a zarazem klasztor i uposażenie, gdy zaś pierwsi zakonnicy ponieśli męczeństwo, dwunastu innych Benedyktynów z Kassyna sprowadził. Św. Emeryk, syn Stefana, króla węgierskiego, za wolą Bożą a rozkazem anielskim, Drzewo Żywota, Krzyż krwią Chrystusa skropiony temu miejscu darował. Stąd głośnem się stało przez cuda i liczne zebrania ludu, oraz odpusty i przywileje przez Stolicę Apostolską udzielane.

Tu pozyskało wielu męczeństwo od pogan. Od Tatarów w roku 1260 — 82 zakonników wraz z Opatem Stanisławem. Kilku od Litwinów. Od Szwedów trzech zakonników, których z nienawiści religijnej okrutnie pobito. Ilekroć kościół ten był złupiony, lub ogniem zniszczony, tyle razy go pobożni monarchowie odnawiali i wspierali. Wreszcie w r. 1780 przez pożar strawiony groził ruiną. Za łaską Niebios jednak odnowiony został nakładem Jana Nepomucena Niegolewskiego, a zarazem ołtarzami, organami i stallami przyozdobiony, we wszelkie zaś sprzęty przez przeora, Wincentego Styczyńskiego, zaopatrzony."

Oto tak się przedstawiają w skróceniu skreślone prawdziwe dzieje klasztoru na Łysej Górze, podczas gdy ciekawy świat legend i podań cudnym nimbem otacza tę prastarą twierdzę wiary chrześcijańskiej, wystrzeliwującą ramionami krzyży i wież ponad wyniosłe wirchy gór i lasów.

Przy zwiedzaniu klasztoru, należy zwrócić baczniejszą uwagę na wartościowe obrazy pendzla artysty malarza Fr. Smugelewicza, na pięknie inkrustowane stalle dębowe i szaty kościelne, oraz na odrzwia, kropielnice i inne przedmioty wykonane artystycznie z marmurów kieleckich. Na szczególną uwagę zasługuje także kaplica, fundacji Oleśnickich, gdzie przechowywane jest Drzewo Krzyża Św. Ściany i sklepienie tej kaplicy ozdobione są pięknemi malowidłami pendzla Macieja Rejchana. W podziemiach klasztoru spoczywają zwłoki opatów miejscowego zakonu i wielu znakomitych osobistości. Między innymi w podziemiach kaplicy pochowani są Oleśniccy, a nawet podanie głosi, że w tejże kaplicy spoczywają również zwłoki Jeremiego Wiśniowieckiego, lecz dokumentów, stwierdzających ten fakt, w archiwum kościelnem niema.



Klasztor Św. Krzyża na Łysej Górze

Po zwiedzeniu świątyni warto jest przyjrzeć się przepięknym widokom, jakie rozpościerają się z obserwatorjum meteorologicznego, mieszczącego się na miejscu zburzonej wieży kościelnej. Przy pięknym i pogodnym dniu — hen, jak można tylko okiem sięgnąć — ponad zielonym kobiercem Puszczy Jodłowej, okrywającej kopice Łysogór, żeglują białe obłoki na tle bezkreślnej dali błękitu, a wszystko to oblane płynnem złotem słońca przy lekkim powiewie górskiego wiatru daje upojne chwile rozkoszy.

Cudnie wygląda stąd również zachód słońca — bo kiedy srzeżoga świateł gra kolorami tęczy na mrocznych czubach puszczy, kiedy ognisty dysk rzucony ręką Boga stacza się zwolna poza Radostawą Górę, wówczas puszcza bucha ptaszęcym hejnałem zmierzchu w spłoniony lazur dalekich nieb.

Obecnie klasztor Św. Krzyża jest w bardzo krytycznem położeniu, gdyż od czasu zburzenia wieży i zrabowania cennych pamiątek i miedzianego dachu przez Austrjaków (31 października 1914 r.), mury klasztorne z każdym rokiem coraz bardziej rozpadają się w gruzy, a wewnątrz mieszczące się pamiątki ulegają zupełnemu zniszczeniu. Wobec tego apeluję do społeczeństwa o udzielenie pomocy zamieniającej się w ruinę odwiecznej świątyni na Łysogórach.

Otaczająca klasztor Puszcza Jodłowa Żeromskiego zasługuje tu również na szczególną uwagę, chociażby nawet dlatego, że w tutejszej okolicy wychował się Żeromski, tu tworzył i pracował. Każdy niemal zakątek Łysogór, każda kapliczka lub krzyż przydrożny są uwiecznione z pewnego rodzaju pietyzmem w jego pięknych utworach, jak np.: „Popiołach, Syzyfowych pracach, Puszczy Jodłowej" i wielu innych.

Dziś z tej potężnej, prawiekowej kniei jodłowej zostały jeno szczątki. Ręka zaborcy, te dumne w niebo sięgające swemi wirchami jodły zwaliła na zielone kobierce mchów. Obecnie grono polskich przyrodników zajęło się energicznie Puszczą Jodłową, tworząc liczne rezerwaty, otaczając gorliwą opieką zniszczony drzewostan i zakładając liczne szkółki na niezalesionych jeszcze terenach. Dzięki tym szlachetnym staraniom Puszcza Jodłowa z powrotem przyobleka powoli szatę minionych czasów i stanie znowu w swojej świetnej krasie wtedy, gdy przez długie lata będziemy pamiętać o tem, że — Puszcza jest niczyja, nie moja, ani twoja, ani nasza, jeno boża, święta.

Stanisław Rychter



Widok na pasmo Łysogór od Słupi-Nowej

Życie

O życie złe, dziwaczne życie,
Każesz mi stąpać, jak po grudzie,
Ani ja ludzi nie pojmuję,
Ani mnie nie pojmują ludzie.

Wszystko mi idzie nie po myśli,
Sama coś stwarzam — sama psuję...
O życie dziwne, tajemnicze,
Ja ciebie także nie pojmuję.

N. Okuszko-Effenbergerowa

Z życia leśnika akademika

A PO MATURZE...?

Niejednokrotnie, na łamach niemal całej prasy polskiej poruszany był już temat nadprodukcji inteligencji, ściślej ludzi posiadających świadectwa dojrzałości, ludzi, którzy mają wszelkie formalne prawa do studjów wyższych, lub zajęcia odpowiednich stanowisk.

Mimo zdawałoby się powszedniości tego zagadnienia, a może właśnie dzięki niej, musimy co pewien czas poruszyć go, odnowić, oświetlić z innych stron i wówczas widzimy jasno, że zagadnienie to jest bardzo aktualne i prawdopodobnie jeszcze długi czas takim pozostanie.

Minęły już bezpowrotnie czasy, kiedy to matura była tem „passe-partout" życia, które umożliwiało młodemu człowiekowi wypłynięcie na szersze horyzonty i otwierało, dotychczas niedostępne drogi. Matura przestała być szczytem edukacji młodych, posażnych panien „z dobrego domu" i niedoścignionem marzeniem „kopciuszków".

Dziś, dzięki rozbudowanemu szkolnictwu średniemu, otrzymanie matury jest kwestją kilku lat pracy, pracy która u ludzi średnio zdolnych nie wymaga nawet maksimalnego wysiłku. Stąd łatwo możnaby wyciągnąć mylny wniosek, że ludzkość jest blisko osiągnięcia „szczęśliwości", gdyż poszczególnym jej przedstawicielkom, lub przedstawicielom, nic nie stoi na przeszkodzie, aby zdobyć to, co w marzycielskich snach o przyszłości stanowiło cel ich życia.

Inaczej jednak mówi samo życie.

Matura obecnie jest zaledwie prawem do przystąpienia do egzaminu konkursowego na poszczególnych wydziałach wyższych uczelni.

Cóż zatem mają robić ci wszyscy, którzy postanowili zdobyć wyższe wykształcenie, a którzy z tych, czy innych względów nie wytrzymali konkursu?

— „Powinni zająć się rzemiosłem" — powie każdy, ale zadajmy sobie drugie pytanie", a które to rzemiosło daje obecnie gwarancję zdobycia i zapewnienia sobie jako takiego dobrobytu?

Na to pytanie nikt zapewne nie da zadawalniającej odpowiedzi. Kwestja więc nadal pozostaje otwartą.

**
*

Zbliża się koniec roku szkolnego, za kilka, najdalej kilkanaście dni, otworzą się mury szkół średnich, a z nich wybiegnie dziesiątki młodych, rozpromienionych maturzystów, trzymających w ręku „świadectwo dojrzałości".

Niejedna matka otrze w ukryciu łzę radości, niejeden ojciec ulegnie głębokiemu wzruszeniu — wszak ich „pociecha" ma już „maturę"!!!

Ale w ślad za tą chwilką radości, nadciągną ciężkie chmury i przesłonią rozradowane oblicza. Na stroskanem czole ukaże się jeszcze jedna zmarszczka, — „Co będzie dalej?" — „Jaki zawód doradzić?"

**
*

Chcę nawiązać do sprawy obioru zawodu leśnika. Temat ten poruszany już był na łamach niniejszego pisma przez p. Prof. A. Schwarza, który w artykule p. t. „Zawód leśnika", szeroko omówił warunki pracy leśnika-inżyniera, chciałbym więc jedynie, oświetlić tę sprawę z punktu widzenia naszego, to jest — studenckiego.

Czem zatem wytłomaczyć taki duży procent wstępujących na wydział leśny? Czyżby to był, aż tak popłatny zawód?

Oto między innemi panuje ogólnie mniemanie, że S. G. G. W., jako Uczelnia przyrodnicza jest łatwa do skończenia. Wszak niema tam matematyki, która tylu studentom zatruwa życie — słyszy się nieraz zdanie, a zatem kto niezdolny do matematyki niech idzie na S. G. G. W. Jest to zgruntu mylne przypuszczenie, a tych, co nieostrożnie w to wierzą, już w pierwszych dniach wykładów spotyka rozczarowanie. Matematyka jest i nawet jest jej dużo. Matematyka wyższa, statystyka, geometrja wykreślna, geodezja, monografja i kilka innych przedmiotów matematycznych, oto zimny prysznic dla wrogów matematyki. Jeżeli dodamy do tego obfity materiał przedmiotów ogólnych i specjalnych w liczbie około 60-ciu, to stwierdzimy, że studja na S. G. G. W. nie są bynajmniej łatwe. Dowodem powyższych słów może być fakt, że procent kończących w przepisanym terminie (4 lata) jest b. mały.

Kwestja dostania odpowiedniej posady po ukończeniu uczelni przedstawia się jeszcze gorzej, a w dobie obecnego kryzysu rolniczego niemal beznadziejnie.

Statystyka wykazuje, że od roku 1919 do chwili obecnej ze wszystkich 3-ch uczelni, kształcących leśników-akademików wyszło 1247 inżynierów leśników, co znacznie przewyższa istniejące zapotrzebowanie. Nie są to miłe horoskopy dla nas akademików studjujących, a jeszcze mniej sympatyczne dla przyszłych kandydatów na wydział leśny.



Nie mam bynajmniej zamiaru zniechęcać do tak pięknego i miłego w swej treści zawodu — leśnika, pragnę tylko dołączyć swój głos, do głosu tych ludzi, którzy w obronie bytu inżynierów - leśników, a jednocześnie, przepojeni troską o przyszłość świeżo wchodzącego w życie młodego pokolenia, starają się wskazać im najlepsze drogi do osiągnięcia najwyższych celów i zapewnienia egzystencji.

Celem przyjścia z pomocą młodym maturzystom i ich rodzicom w wyborze zawodu Koło Leśników (Rakowiecka 8), będzie udzielać przez cały czerwiec w godzinach urzędowania, informacji co do warunków studjów na wydziale leśnym S. G. G. W. Na prowincję wysyłamy odpowiedź po nadesłaniu znaczków na list.

Kazimierz Bogusławski,
Prez. K. L. stud. S. G. G. W.

SEKCJA TOWARZYSKA.

Sekcja Towarzyska Koła Leśników stud. S.G.G.W. w Warszawie, mając na względzie rozwój życia towarzyskiego pośród członków Koła, nie ogranicza się w swojej działalności jedynie do dziedziny zebrań towarzyskich oraz prowadzenia czytelni.

W roku bieżącym S.T.K.L. zainteresowała się żywo, w myśl zbawczych haseł higjeny, fizycznym rozwojem członków Koła i w myśl tę organizuje szereg imprez sportowych.

Akcję tę, obejmująca również tereny ogółu studentów S.G.G.W., S.T.K.L. zapoczątkowała uruchomieniem „siatkówki" na własnem boisku przy gmachu S. G. G. W.

Drugą imprezą, zakrojoną na szerszą skalę, jest zorganizowanie w dniach 29.V — 1.VI b. r. „zawodów tennisowych" o mistrzostwo S.G.G.W. Protektorat nad nimi raczył objąć Jego Magnificencja Pan Rektor S.G.G.W. prof. Jan Sosnowski, który też osobiście w poszczególnych konkurencjach wręczy mistrzom nagrody.

Koło Leśników ze swej strony również ufundowało nagrodę dla wyróżnionego tennisisty-leśnika.

W ramach odbywającego się w dniach 28.V — 4.VI „Tygodnia sportu akademickiego" przewidziane są spotkania drużynowe między poszczególnemi Wyższemi Uczelniami.

Z ramienia Bratniej Pomocy studentów S.G.G.W. organizację tygodnia sportu na terenie tejże Uczelni, zajęła się S.T.K.L. Przy współudziale licznych rzesz sportowców, będą uruchomione drużyny piłki „koszykowej" siatkowej, drużyna szermiercza i strzelecka, 8-ka wioślarska, lekkoatletyczna, oraz będą obsadzone liczne, pojedyńcze konkurencje. Wyniki z poszczególnych konkurencyj z „Tygodnia Sportu", jak również Konkursu Tennisowego, podamy w Dziale Akademickim następnego numeru „Ech Leśnych".

Widzimy więc, że akademicy-leśnicy dbają nietylko o pogłębienie wiadomości naukowych, ale również z zapałem garną się do sportu, wiedząc, że tą drogą uzyskają maximum siły ciała i ducha do przyszłej pracy zawodowej i obrony granic państwa na leśnych strażnicach Rzeczypospolitej Polskiej.

K. B.

ZJAZD DELEGATÓW ZWIĄZKU LEŚNIKÓW RZPLITEJ POLSKIEJ

W dnia 25—27 maja roku bieżącego odbył się w Toruniu Zjazd Delegatów Związku Leśników Rzplitej Polskiej.

Zjazd rozpoczął się uroczystem nabożeństwem w kościele katedralnym Św. Jana, poczem uczestnicy Zjazdu poprzedzani oddziałami Przysposobienia Wojskowego Leśników i pocztami sztandarowemi z orkiestrą, udali się przed pomnik Mikołaja Kopernika oraz pomnik poległych 63 p.p., gdzie zostały złożone wieńce.

Następnie na Rynku Staromiejskim odbyła się defilada oddziałów Przysposobienia Wojskowego Leśników przed przedstawicielami władz z panem wojewodą pomorskim Kirtiklisem, p. gen. Pasławskim, dowódcą O.K. VIII, p. Dyr. Loretem, prezesem komitetu naczelnego P.W.L. i in.

Uroczyste otwarcie oficjalnej części Zjazdu odbyło się w pięknie przybranej w zieleń i emblematy państwowe sali Teatru Polskiego przy udziale delegatów i zaproszonych gości w liczbie około 300 osób, w obecności przedstawiciela Min. Roln. p. A. Loreta, Dyr. Nacz. Las Państw. p. woj. Kirtiklisa, dow. O.K. VIII p. gen. Pasławskiego, prezydenta miasta p. Bolta, przedstawicieli władz państwowych komunalnych i instytucyj społecznych.

Zjazd zagaił dłuższem przemówieniem prezes Związku Leśników Rzplitej Polskiej p. M. Nagabczyński.

W dalszym ciągu części oficjalnej Zjazdu prof. Kloska wygłosił odczyt p. t. „Lasy Pomorza". Drugi wielce pouczający odczyt p. t. „Pomorze i jego znaczenie dla Polski" wygłosił p. dr. Kaczmarek.

Oficjalną część Zjazdu zakończono wysłaniem telegramów hołdowniczych do p. Prezydenta Rzplitej prof. I. Mościckiego, p. Marszałka Piłsudskiego oraz telegramów do p. Prezesa Rady Ministrów, Ministra Rolnictwa i R. R. i wiceministra Karwackiego i Kasińskiego, oraz przyjęciem rezolucji:

„Zebrani na uroczystem otwarciu Zjazdu Delegatów Związku Leśników Rzeczypospolitej Polskiej, stojąc na stanowisku, że Pomorze od prawieków stanowiło integralną część państwa polskiego oraz, że żywioł polski od najdawniejszych czasów ziemie te zamieszkuje, a wreszcie, doceniając znaczenie dostępu do morza, jako niezbędnego warunku do życia i rozwoju 30 miljonowego narodu, łączą się ze wszystkiemi warstwami społeczeństwa, z najdalszych zakątków Polski, w proteście przeciw jakimkolwiek wrogim zakusom zmierzającym do oderwania od Polski Pomorza.

Nie pozwolimy nigdy, aby choć jedna piędź ziemi polskiej wpadła w ręce wroga.

Protestujemy również przeciw wszelkim represjom stosowanym wobec miljonowej rzeszy braci naszych za kordonem niemieckim i żądamy, aby mniejszość polska w Niemczech była traktowana tak, jak mniejszość niemiecka w Polsce, która zażywa pełnych swobód obywatelskich. Chcemy żyć i pracować w spokoju dla dobra całej ludzkości, lecz wszelkie ataki na ziemię Pomorską oraz ucisk Polaków na terenie Niemiec spotkają się zawsze ze zdecydowanym i jednolitym oporem całego społeczeństwa polskiego.

Solidaryzując się ze szczytną ideą Wielkiego Budowniczego Polski Marszałka Józefa Piłsudskiego i doceniając powagę dzisiejszych czasów, Zjazd uważa, że nakazem chwili dla wszystkich jest wyścig w pracy dla Państwa w jedności i zgodzie z ufnością we własne siły, z niezłomną wytrwałością i wiarą w wielką przyszłość Polski.

Od zarania dziejów naszego Narodu jego byt związany był z lasem. Niechże więc las, przez wzajemne, solidarne wspieranie się drzew i mocne związanie z ziemią, będzie symbolem jedności i mocy Narodu, a wówczas skutecznie oprze się on każdej burzy dziejowej".

Obrady plenarne Zjazdu oraz sześciu wyłonionych komisyj odbywały się w sali dworu Artusa oraz w salach Dyrekcji Lasów Państwowych.

Drugiego dnia Zjazdu uczestnicy udali się do Nadleśnictwa państwowego Osiek, gdzie wygłoszone zostały odczyty na temat walki z sówką choinowką, oraz zademonstrowano opylanie uszkodzonych drzewostanów.

Zjazd powziął szereg rezolucyj, między innemi następujące:

1) Wychodząc z założenia,

że lasy stanowią część majątku narodowego, że należyta aktywność produkcji leśnej w całości życia gospodarczego leży nietylko w interesie samej produkcji, lecz również w interesie poprawy ogólnego układu stosunków gospodarczych kraju, w szczególności zaś w interesie szerokich warstw pracowników, znajdujących w produkcji leśnej źródło ich utrzymania,

że zatem jedną z podstawowych zasad programu gospodarczego Rządu winno być stworzenie dla gospodarstwa leśnego warunków, sprzyjających jego istnieniu i rentowności oraz zapewniających tej gałęzi produkcji opłacalność i pewność.

Zjazd wita z uznaniem uchwałę Komitetu Ekonomicznego Ministrów z dnia 3 lutego 1933 roku w sprawie poprawy sytuacji produkcji drzewnej, stwierdzającą, że dążenie do zapewnienia rentowności produkcji leśnej zostało przyjęte jako założenie podstawowe polityki gospodarczej Rządu, oraz wzywa Zarząd Gł. do podjęcia wszystkich tych starań, jakie okażą się potrzebne dla dalszej realizacji wspomnianych założeń, przedewszystkiem przez uzyskanie na terenie Rządu rewizji dotychczasowej polityki gospodarczej we wszystkich tych dziedzinach, w których dotyka ona interesów produkcji leśnej.

Wychodząc z założenia:

że warunki służby w państwowem gospodarstwie leśnem różnią się zasadniczo od warunków służby w innych działach administracji państwowej ze względu na czysto gospodarczy charakter pracy w państwowem gospodarstwie leśnem, zbliżony całkowicie do pracy w przedsiębiorstwach,

że przepisy pragmatyki służbowej, uposażeniowe i emerytalne, obowiązujące w państwowem gospodarstwie leśnem, nie uwzględniają w żadnej mierze specjalnych warunków służby w lasach państwowych, — jako opracowane przedewszystkiem z punktu widzenia służby w ogólnych działach administracji państwowej,

że wobec tego konieczne jest unormowanie stosunku służbowego w państwowem gospodarstwie leśnem na podstawach specjalnych,

że wreszcie tylko w drodze wprowadzania odrębnych przepisów, normujących sprawy stosunku służbowego, uposażenia i zaopatrzenia emerytalnego pracowników państwowego gospodarstwa leśnego może nastąpić uregulowanie uposażeń w państwowem gospodarstwie leśnem w sposób, odpowiadający warunkom pracy, to jest zależnie od funkcyj przywiązanych do poszczególnych stanowisk.

Zjazd Delegatów Związku Zawodowego Leśników powziął następujące uchwały:

1) Stosunek służbowy pracowników państwowego gosp. leśnego winien być unormowany na podstawie przepisów specjalnych w sposób, zbliżony do przepisów, normujących stosunek służbowy pracowników monopoli państwowych, lub przedsiębiorstw państwowych, — przy zachowaniu jednak publiczno-prawnego charakteru stosunku służbowego.

2) Zamiast istniejących obecnie rodzajów stosunku służbowego (mianowany, mianowany z zastrzeżeniem usuwalności, prowizoryczny, kontraktowy), wszyscy pracownicy gospodarstwa leśnego winni być zatrudnieni na podstawie jednolitego stosunku służbowego o charakterze publiczno-prawnym, dającego prawa emerytalnego.

3) Sprawy uposażenia służbowego winny być uregulowane w sposób i w wysokości, odpowiadającej warunkom ciężkiej i odpowiedzialnej służby w państwowem gospodarstwie leśnem, przyczem normy uposażenia winny być dostosowane nie do stopni służbowych, jak to ma miejsce obecnie, lecz do rodzaju funkcji, przywiązanych do zajmowanych stanowisk. Według powyższej zasady winna być uregulowana również sprawa wynagrodzenia w naturze, to jest „deputatów".

4) Sprawy zaopatrzenia emerytalnego winny być uregulowane w sposób odmienny od ogólnej ustawy emerytalnej, gwarantujący wszystkim pracownikom państwowego gospodarstwa leśnego nabycie praw emerytalnych. Dla rodzin funkcjonarjuszów państwowego gospodarstwa leśnego pełniących służbę ochronną, winny być ponadto wprowadzone zaopatrzenia specjalne na wypadek śmierci tych funkcjonarjuszów w lesie i z powodu pełnienia służby.

5) Przy regulowaniu według powyższych zasad spraw stosunku służbowego, uposażenia służbowego i zaopatrzenia emerytalnego funkcjonarjuszów państwowego gospodarstwa leśnego, zatrudnionych na podstawie przepisów obecnie obowiązujących, nie może nastąpić ani pogorszenie obecnego stosunku służbowego, ani też zmniejszenie uposażeń czy zaopatrzeń.

Na bieżącą kadencję powołano do Prezydjum Zarządu Głównego Związku p.p.: insp. las. państwowych Marjana Nagabczyńskiego — na stanowisko prezesa, kierown. wydz. doświadczalnictwa las. państw. inż. Jana Hausbrandta i posła Gustawa Chmielewskiego — na stanowisko wiceprezesów, inż. A. Klimkiewicza i mag. praw. Eug. Stankiewicza — na stanowisko sekretarzy, radcę mag. praw. Stan. Błonarowicza — na stanowisko skarbnika oraz insp. ochr. las. Leonarda Bieńkowskiego — na stanowisko członka Prezydjum.

Garść wrażeń z przebiegu Zjazdu podamy w następnym numerze. z



Toruń. 1. Kościół Św. Jakóba (1309 — 1350) — zachwycający gotyk nadwiślański, jedna z najpiękniejszych świątyń polskich. 2. Krzywa wieża (II poł. w. XIII). 3. „Piękna Madonna“ z kościołaŚ. Jana (pocz. w. XV) — przepiękny, pełen wyrazu okaz rzeźby z doby późnego gotyku. 4. Widok ogólny od strony Wisły. 5. „Junkerhof“ — dworzec bractwa ś. Jerzego, rodzaj średniowiecznego klubu towarzyskiego, zbudowany ok. 1486 na zwaliskach zburzonego przez mieszczan zamku krzyżackiego. 6. Godło miasta. 7. Pomnik Kopernika (1853). 8. Kościół ś. Jana 1250 — 1483), widziany przez bramę Żeglarską. 9. Ratusz (wieża 1250 — 1835„ czworobok 1393,1603). 10. Pierniki toruńskie wyciskane z form z XVII w., prawdziwe dziełasztuki — jeden w postaci medaljonu z orłem polskim i koroną królewską, drugi wyobraża króla Władysława IV, trzeci — królowę Cecylję Renatę.



Grupa współpracowników, żegnająca inspektora inż. J. Buczackiego

POŻEGNANIE INSPEKTORA

W dniu 19 kwietnia 1933 r. w Piotrkowie, grono leśników żegnało dotychczasowego swego Inspektora p. Inż. J. Buczackiego, który przeniesiony został na stanowisko Inspektora Zarządu Lasów Państwowych w Cieszynie. Rozstawano się z nim żalem, należał on bowiem do tych, którzy umieją połączyć swe stanowisko z poczuciem człowieczeństwa, był to człowiek o prawym charakterze, silnej woli, a jako zwierzchnik wymagający i sprawiedliwy, umiejący swym postępowaniem zaskarbić sobie cześć i szacunek swych podwładnych.

To też żegnano p. Inspektora z ogólnym żalem, życząc Mu na nowej placówce owocnej pracy w umiłowanym zawodzie.

Inż. T. S.

PAMIĘCI BRONISŁAWA GAŁCZYŃSKIEGO

Raptownie, z pośród nielicznego szeregu ludzi wszechstronnie światłych, porywających wigorem, przepojonych ujmującym entuzjazmem dla pracy fachowej i całego życia, śmierć wyrwała Bronisława Gałczyńskiego. Sądzone mu było odejść w zaświaty w pełni sił, kipiącemu inicjatywą, humorem, zapałem i energją. Znawca i wielbiciel drzew i kwiatów, zgasł najniespodziewaniej, na progu wiosny, właśnie wtedy, gdy życiowe soki zaczynają krążyć w obudzonej ze snu zimowego naturze, gdy szumem i wonią najśliczniejszą, młodą zielenią, przyciągają oczy i dusze ukochane przezeń i naukowo opisane drzewa i kwiaty — zda się po to, aby okrutnym faktem swego nagłego zgonu wskazać w stosunku do siebie na sens i prawdę końcowych słów z wiersza Juljana Ejsmonda, p. t. „Drzewa liściaste": „Zmartwychwstanę po śmierci radośnie, aby żyć w śpiewającym lesie..."

Bronisław Gałczyński przedstawiał bogatą, jakże daleką od jednostronności, bujną, aktywną indywidualność. Doktór filozofji, nauczyciel matematyki, człowiek interesów handlowo-przemysłowych, działacz społeczno-narodowy, publicysta, już w wieku dojrzałym nadewszystko ukochał i doskonale, najgruntowniej opanował pod względem zarówno teoretycznym jak i praktycznym — ogrodnictwo, które nie było dlań — „branżą". Dla tego uczonego znawcy i tkliwego miłośnika przyrody stało się ono powołaniem, misją, działalnością reformatorską, ukochaniem i pasją, ambicją całego życia, posterunkiem, którego bronił, nad którym z entuzjazmem pracował, i działał ciągle, tworzył.

Gałczyński, sam fenomenalnie oczytany w polskiej i wszechświatowej literaturze pięknej, rozsmakowany w sztuce, obdarzony niewątpliwym talentem literackim, z naciskiem podkreślał w swych dziełach taką oto rzecz zwyczajną i jednocześnie nadzwyczajną: *nierozerwalną łączność piękna przyrody z pięknem sztuki.* Sztuka, a także religja — według jego słusznego poglądu — stanowią przygotowanie kulturalne, niezbędne dla rozkoszowania się przyrodą.

W takich dziełach, jak „Drzewa liściaste" i „Róże w ogrodzie", autor obficie przeplata swój fachowy, gruntowny, a przejrzyście i lekko ujęty, wykład ogrodniczo-botaniczny, odpowiednio dobranemi, pięknemi cytatami z wielkich pisarzy na przestrzeni wieków, od starożytnych poczynając, aż do współczesnych. W ten sposób powstały książki pełne nieodpartego uroku, piękne i zarazem pożyteczne, aljaże nauki i poezji. Nie znało dotychczas takich książek ogrodnictwo! Książki Gałczyńskiego odkryły oczy rzeszom inteligencji miejskiej na piękno przyrody. Przykładowo pokazały, iż wiedza o drzewach i kwiatach, sadach i ogrodach, bynajmniej nie musi być nudna i przeznaczona dla kręgu specjalistów, ale, przeciwnie, może i powinna być nadzwyczaj pociągająca dla wszystkich ludzi kulturalnych, wrażliwych na cuda przyrody i kojarzące się z nimi cuda sztuki.



Ś. p. Bronisław Gałczyński

„Drzewa liściaste", zgodnie z założeniem autora, unaoczniły tę szlachetną tezę, iż piękno lasu i piękno drzew zawarte jest nietylko w samym lesie i w samych drzewach, ale i w dziełach sztuki. Ta książka, która uczy i propaguje i czyni to zawsze z uśmiechem, w pełni zrealizowała zadanie, zakreślone jej w przedmowie przez autora: „Nietylko nauczyć jak sadzić i jak pielęgnować drzewa, nietylko jak je poznawać i jakie wybrać dla siebie gatunki, ale jeszcze i nadewszystko obudzić sympatję do drzew, dopomóc do pochwycenia zrozumienia odrębnej fizjonomji i charakteru każdego gatunku i wreszcie zachęcić do sadzenia drzew".

...Obudzić sympatję do drzew! Czytając „Drzewa liściaste" Gałczyńskiego, niepostrzeżenie wchodzimy w serdeczną zażyłość z drzewami. Poezję o drzewach lepiej, głębiej, intymniej odczuwamy, a do wiedzy leśniczej i ogrodniczo-botanicznej zapalamy się. Niejeden czytelnik, razem z autorem będzie powtarzać ze wzruszeniem i w skupieniu, słowa z „Księgi ubogich" Kasprowicza, wzięte przez autora, jako motto książki:

„Rozmiłowała się ma dusza
W cichym szeleście drzew,
Gdy koronami ich porusza
Druh mój, przecichy wiew."

W książce p. t. „Róże w ogrodzie", tak samo pięknej i jednocześnie pouczającej, jak „Drzewa liściaste", znajduje się rozdział p. t. „Róże u Mickiewicza i Słowackiego". Marzyło się Bronisławowi Gałczyńskiemu, iż przyszłe polskie „Towarzystwo Przyjaciół Róży" w lokalu swoim wmuruje tablicę marmurową, na której wyryty będzie napis: Juljuszowi Słowackiemu, pierwszemu Polakowi, który kochał róże i znał się na różach.

Poza wspomnianemi pracami, jest jeszcze Gałczyński autorem kilku książek o ogrodach: warzywnym, owocowym i kwiatowym, oraz, ostatnio, o sadownictwie dochodowem.

„Wiadomości literackie" we wspomnieniu pośmiertnem poinformowały, iż Gałczyński zamierzał napisać książkę, poświęconą wyłącznie światowi roślinnemu w dziełach polskich pisarzy. Tej pięknej, ostatniej swojej koncepcji, już, niestety, nie zdołał zrealizować.

Kultura polska nie zapomni promiennej postaci Bronisława Gałczyńskiego. Imię Jego nierozdzielnie będzie się zawsze kojarzyć z urodą polskiego lasu, ogrodu i całej przyrody polskiej.

Marceli Poznański

LAS I JA

WSPOMNIENIA

Byłam wtedy małą dziewczynką.

Nie chodziam jeszcze do szkoły, choć umiałam już czytać i patrzeć na świat szeroko rozwartemi oczami, które niewiele może rozumiały, ale uczyły się podziwiać.

Lato tego roku spędziliśmy w lasach pomorskich, pod Grudziądzem. Willa, w której mieszkałam stała na wielkiej, piasczystej polanie, wśród ogrodów i sosnowych zagajników.

Pamiętam, było to w czerwcu.

Dzień wyjątkowo pogodny i słoneczny wyciągnął mnie z pokoju wczesnym rankiem. Wymknęłam się cichutko z ogrodu i biegłam ostrożnie wzdłuż willi, żeby nikt nie zauważył. Tam, w oddali zieleniły się strzeliste sosny prawdziwego lasu, a w lesie.. gdzieś w tajemniczym zakątku, chłopcy zbudowali szałas i założyli obóz czerwonoskórych. Nam, dziewczynkom, nie chciano nawet pokazać tego osiedla „rączych bawołów" i „chytrych lisów". Legendy krążące o wiecznych ogniskach, przy których pieczono kartofle, o strzelaniu z łuków i różnych dziwnych praktykach autentycznych „Indjan", przybranych w malownicze pióra, podniecały tylko naszą ciekawość i fantazję.

Odkryć tajemnicę „chytrych lisów", wytropić ślady stóp, obutych w mokasyny — oto dzieło warte strachu i samodzielnej wycieczki.

Wydostałam się wreszcie z obrębu pobliskich zagajników i wpadłam zdyszana do lasu. Rozstąpiły się przede mną sosny z przyjaznym poszumem, a małe kępki jałowców nastroszyły ostre kolce.

Zwolniłam kroku, byłam trochę zmęczona. Zapał pierwszego porywu osłabł. Gdzież tu szukać obozu wśród tylu podobnych do siebie drzew, wśród strzępiastych pióropuszów paproci i mchów, który zapraszał do spoczynku. Szłam jednak ciągle naprzód, choć już bez wyraźnego celu. Małe dróżki leśne rozbiegały się dokoła, wabiąc każda w swoją stronę. Gorące słońce zaglądało poprzez gałęzie sosen, złocąc czerwono-brunatną korę. Szłam coraz wolniej, rozglądając się ciekawie. Wszystko tu było takie nowe i wyglądało inaczej, niż zwykle, jakby odświętniej. Przychodziłam tu często z boną i koleżankami, ale wtedy zbierałyśmy jagody, szyszki, albo kwiaty, wesołem hukaniem przerywając ciszę. A tym razem byłam taka sama, wobec tylu wielkich drzew. Usiadłam wreszcie zmęczona, przytulając rozpalony policzek do pnia sosny. Tam w górze kołysał się zielony, pachnący baldachim gałęzi. Równe kołysanie przerywał od czasu do czasu silniejszy powiew wiatru, a mnie się zdawało, że wyrwie mi z rąk całą sosnę, by ją unieść do nieba. Na tę myśl niespokojnie zabiło mi serce. Tak dobrze było siedzieć tu na mchu, przyciskając policzek do chropowatej powierzchni kory. Kropelki pachnącej żywicy złociły się w słońcu nic nie przeczuwając, gdy tymczasem wiatr.. Nie, nie, to byłoby okropne. I oto wydało mi się nagle, że gdzieś tam, aż od samego wierzchołka drzewa popłynął do mnie niewyraźny szept, niby jakieś ciche ukojenie.

Długo siedziałam przytulona do pnia, zasłuchana i drżąca. Ja, dziecko miasta, wychowana w dusznych studniach ulic, ogłuszona hałasem rozpędzonych, jaskrawych tramwajów, zrozumiałam duszę lasu. Przemówiły do mnie drzewa strzeliste i mchy zielone, rozpostarte u maleńkich stóp, obutych w trepki, przemówiły zioła i kwiaty, a nawet suche, smutne szyszki uśmiechnęły się do mnie przyjaźnie.

I w mojem małem sercu miejskiej dziewczynki obudziła się wielka, ogromna tęsknota. Pokochałam wtedy las nieznany, tajemniczy i daleki.

*

Było to w końcu sierpnia tego samego roku. Lato miało się już ku schyłkowi i zbliżał się dzień powrotu do miasta.

Pewnej niedzieli, syn gospodyni, młody student wydziału leśnego S.G.G.W. w Warszawie, zorganizował wycieczkę do odległej o kilka kilometrów leśniczówki. W wywieczce tej miały wziąć udział także młodsze dzieci. Byłam pupilką pana Władysława, to też cieszyła mnie niezmiernie każda nowa wyprawa.

Wyszliśmy zaraz po obiedzie liczną gromadką. Tym razem droga wiodła wzdłuż strumyka, porosłego sitowiem i łozą. Na piasku przybrzeżnym wygrzewały się leniwe w słońcu jaszczurki.

Drzewa były tu liściaste, grubsze i jakieś dziwnie poważne. Wśród gałęzi pomykały wiewiórki, trzęsąc pociesznie kitami ogonków.

Dreptałam obok pana Władysława uczepiona jego ręki. Było mi strasznie żal, że wkrótce będę musiała odjechać, że tam w Warszawie zmienię się znowu w zwykłą, miejską dziewczynkę. Włożą mi cieliste pończoszki, opiętą sukienkę i płaszczyk, którego nie wolno poplamić. Dadzą mi obręcz i każą ją gonić w parku, na drodze wysypanej grubym, wstrętnym żwirem.

A tutaj? Tutaj zostaną moje drzewa, paprocie, rozćwierkane ptaszki i wszystko to, co zdążyłam w ciągu lata pokochać.

W zamyśleniu puściłam rękę pana Władysława. Cóż z tego, że zobaczę teraz leśniczówkę, myślałam z goryczą. Cóż z tego, że mnie zabrali na ten spacer, za tydzień trudno mi będzie uwierzyć w istnienie lasu.

Szłam coraz wolniej pozostając w tyle. Nie cieszyła mnie nawet, w tej chwili, obietnica zobaczenia oswojonych sarenek. A las jakby rozumiał mój żal, szumiał smutnie, coraz smutniej.

Zatrzymałam się wreszcie zdziwiona masą zeschłych, zeszłorocznych liści, które grubą warstwą pokrywały ziemię. Lekki wiatr poruszał je, podrzucał i kręcił. Usiadłam na jakimś pniaku, patrząc na igraszki wiatru.



Po długiej chwili wyrwało mnie z odrętwienia wołanie, zauważono moją nieobecność i pan Władysław mnie szukał. Rozgłośne echo powtarzało wesołe moje imię. Nuśka! Nuś-ka! N-u-ś-k-a!

Odezwałam się w końcu. Mój przyjaciel odnalazł mnie i, grożąc palcem, strofował:

— Dlaczego zostajesz w tyle? Jesteś niegrzeczna.

Podniosłam na niego załzawione oczy. Spoważniał nagle.

— Płaczesz Nuśka, co się stało?

— Żegnam las — powiedziałam cichutko.

Stał koło mnie długo, skupiony i milczący. Potem wziął mnie na ręce i niósł ostrożnie. — Nie płacz maleńka — mówił dobrym, ciepłym gosem. — Wrócisz przecież do lasu, wrócisz kiedyś do lasu na zawsze.

*

Minęło wiele lat. Przyszły czasy szkolne. Nie dużo dowiedziałam się o lesie na lekcjach botaniki i zoologji. Pokazywano nam gałązki świerku i sosny, kazano je rysować w zeszytach, oglądać przez mikroskop, krajać, liczyć igły, rozcierać na dłoni kropelki żywicy i to wszystko.

Nie lepiej działo się na szkolnych wycieczkach. Tam, na świeżem powietrzu powtarzały się klasowe doświadczenia, przerywane zabawą w berka, lub chowanego. Snuły się granatowe mundurki wśród drzew zasłuchanych i zdziwionych, a pod bluzkami sukienek biły obojętne, zastygłe serduszka. Te dziewczęta nie uczono kochać lasu.

*

I znowu minęło wiele lat. Żyły we mnie ciągle słowa mego przyjaciela z dzieciństwa. „Wrócisz kiedyś do lasu na zawsze..." Czy wrócę? Czy życie pozwoli?

A życie rwało naprzód.

I oto pewnego roku, późną jesienią, w końcu października, odwiedzałam nadleśnictwo na Pomorzu. Pomorski las, podobny do lasu z przeszłości.

Auto mknęło szybko po wspaniałej szosie, jechaliśmy zwiedzać szkółki. Pogoda była wyjątkowa. Z poza drzew wyglądało ciepłe, prawie letnie słońce.

Zgrzytnęły wreszcie hamulce. Wyskoczyłam na wilgotną ziemię. Tuż w pobliżu, na tle poważnej ściany lasku, majaczyły ogrodzenia szkółek. Weszliśmy. Królestwo maleńkich drzew. Śliczne, równiutkie rzędy dwuletniej daglezji zielenią się wesoło. Przycupnięte na grządkach filigranowe sosenki, bezradne jeszcze i wątłe. Długim szeregiem ciągnęły się szkółki, niby przedziwna, tchnąca życiem szachownica.

Szofer daje niecierpliwe sygnały. Czas wracać, za godzinę odchodzi pociąg. Wyszłam pierwsza poza ogrodzenie. Tam na szosie lśni auto połyskliwym lakierem, a tu, pod nogami, liście, biedne mokre, na pół zgniłe liście, tak jak kiedyś w dzieciństwie. Tylko wtedy pan Władysław, kochany przyjaciel, powiedział, że wrócę na zawsze, a tu głosy obojętne i zimne — prędko, prędko, spóźnimy się na pociąg, na pociąg do Warszawy.

Oglądam się po raz ostatni na moje drzewa, stoją dumne, obce, niedostępne. Pochylają z szelestem korony i gwarzą... O czem gwarzą? Nie wiem, nie rozumiem. Pod stopami smutne, zgniłe liście. Wiem, że tu nie wrócę.

Janina Rosnowska



ECHA ŁOWIECKIE



LEŚNIK POLSKI — JAKO CZYNNIK ROZWOJU FAUNY KRAJOWEJ W NASZYCH ZOOLOGACH

I.

Nieraz dają się jak najsłuszniej słyszeć gorzkie żale, że owe przybytki o charakterze wysoce pedagogicznym zaznajamiania się szerokiego ogółu z rodzimym światem przyrody—niestety, nie osiągają pod tym względem dotąd należytego poziomu!

Istotnie pomimo bajecznego rozwoju i coraz większego powiększenia się egzotycznej fauny — widzimy bardzo nikłą ilość przedstawicieli miejscowych zwierzęco-ptasich okazów.

Warszawski, jako też Poznański Zoo— poza egzemplarzami wilków, dzików, jeleni, sarn, rysi ze sfery czworonożnej — pewnej liczby kaczek dzikich, żórawi, bocianów — kilku dziesiątków najpospolitszych „wróblowatych", szpaków i drozdów z domieszką niektórych odmian drapieżników — świecą pustkami!...

Znajdujące się tam żubry — stoją po za nawiasem, gdyż można powiedzieć, posiadanie ich zawdzięczają ogrody zooligiczne czynnikom państwowo-międzynarodowym, a nie staraniom obywatelskim!

Ofiarność publiczna, piecza nad rozwojem instytucyj tak pożytecznych jest sferą zainteresowań szerokiego społeczeństwa.

Najbardziej sprężysta administracja naszych zoologów, jaką niezawodnie posiadamy w osobach obecnego dyrektora dr. p. Żabińskiego w Warszawie — prof. Sierkowskiego w Poznaniu, są w stanie coraz więcej powiększać, pomimo całego ogromu trudności finansowych i innych — etaty fauny egzotycznej — ale przenigdy nie krajowej.

Nabycie słonia, lwa, nosorożca, aligatora, tygrysa, czy innego szympansa — jest kwestja materjalnej kombinacji tylko.

W takiej firmie, jak słynnego Hagenbecka w Hamburgu, można „obstalować" i nabyć hipopotama, boa constrictora, czy goryla z jednaką łatwością, jak pudełko sardynek u Pakulskich.

Stanowi to — kwestję pieniężną i nic więcej!

Natomiast, żaden Hagenbeck na świecie nie dostarczy okazu rzadkiego zwierzątka, czy ptaszka krajowego — za żadne dolary! Na skutek prostej przyczyny— że zorganizować wyprawę do stref ekwatorjalnych celem zdobycia „multum" poszukiwanego na rynkach wszechświatowego zbytu towaru — to „kalkulacja", opłacająca się — atoli nikt ubiegać się nie będzie, o zdobycie tej, lub innej pokrzewki, czy krzyżodzioba dwupręgowego.

A jednakże, właśnie dla nas Polaków, każdy objekt krajowy — jest wysoce ciekawym.

Badania naukowe nad niemi—również mają wartość nie byle jaką, nie mówiąc już o przyjemności oglądania „z bliska"— całego szeregu gatunków, tak drogich sercu każdego myśliwego, czy przyrodnika.

A nawet, odnośnie do małych zwierzątek rzadko napotykanych — wiodących tajemniczy żywot, jak przeróżne gatunki drobnych drapieżników, gryzoniów — rzeszy całej drobnych ptasząt — tych żywych uśmiechów przyrody-! — czyż nie byłoby to rozkoszą „delektować się" ich oglądaniem, nasycać śpiewem do woli, a nie na chwilkę jedną — „wychwyconą" podczas, krótkiego, tak nieraz trudnego „ujrzenia" — na łonie wszechstworza!

Oprócz tego, wszelkiego rodzaju okazy, nawet po ich śmierci nie tracą swej naukowej wartości, gdyż dyrekcje Ogrodów Zoologicznych, będąc w ścisłym kontakcie w Muzeum Zoologicznem w Warszawie — padłe sztuki tam skierowują, celem ich „preparacyj" dla stałego konserwowania w witrynach.

Na tle tego zagadnienia — toczyły się bardzo znamienne i ciekawe konferencje z udziałem p. dyr. Żabińskiego na posiedzeniach Komitetu redakcyjnego „Łowca Polskiego".

W numerze 9-tym z 10.III.-33, zamieszczony został atrykuł niżej podpisanego w tej materji, oraz odezwa Redakcji do myśliwych, właścicieli i dzierżawców terenów łowieckich względem tak bardzo nam wszystkim bliskiej i ważnej sprawy.

II.

Zdaje mi się, że nikt — żaden myśliwca, tembardziej właściciel, czy dzierżawca terenów, nie może być ustawicznie i ciągle w takiem zespoleniu się z naszą Matką Przyrodą — w jakiem się znajduje każdy należący do zaszczytnej „konfraternji" — bractwa korporacji leśników. Pojmując ją oczywiście w najszerszem i najszczytniejszem znaczeniu!

Zaiste, w obcowaniu z wszechstworzem przybywają nowe siły Ducha — jako starożytnemu Anteuszowi przy ziemi każdem dotknięciu-!

Jakżeż jej nie kochać!...

I właśnie — kto wie? — czy w tym wypadku — maluczcy, nie bywają pierwszymi!

Bo — wyższe szczeble hierarchji — tak są zawalone pracą statystyczno-biurową, że nie mają sposobności zbliżenia z lasami, moczarami, wodami — całą potęgą piękna naszej krainy.

Stanowi to poniekąd atrybut skromnych, szarych pracowników!

Dlatego też, ci leśnicy bywają świadkami niejednego misterjum przyrodniczego, częstokroć „wychwytując" — niejedną tajemnicę skrytą od wzroku profanów.

Oczywiście, że bezcelowe pozbawianie wolności tworu Bożego byłoby karygodnym czynem, ale pojmanie rzadkich egzemplarzy dla celów naukowych, dla pociechy miasta, — to zupełnie inna sprawa.

I na taki czyn zdobyć, się może każdy z braci leśnej — na wszelkich stopniach służbowych!

Ileż to razy „nieprodukcyjnie" marnie giną hodowane przygodnie piękne okazy — na śmietnik następnie wyrzucane!

Natomiast tak łatwem jest — skierować takowe pod adresem Dyrekcji miejskiego Ogrodu Zoologicznego w Warszawie — naturalnie, zaraz po złapaniu.

Gajowy, czy strażnik będąc w posiadaniu „niesamowitej" sztuki — nie wiedząc często, co to jest ten okaz, winien przedstawić ją swemu zwierzchnikowi leśniczemu lub wyżej, który ją skieruje pod wskazanym adresem.

Oczywiście, należy odrazu otoczyć pojmany okaz należytą i właściwą opieką i odpowiednio karmić.

Dla wszelkich owadożernych ptaków „nieomylnym" produktem zawsze będą, tak zwane „mrówcze jajka", czyli poczwarki — dla ziarnojednych siemie konopne (łuszczaków), — proso, poślad pszenny (karowatych) i naturalnie zawsze świeża woda i umieszczenie, w możliwie wygodnej klatce.

Głuszce, cietrzewie, jarząbki, pardwy, przepiórki, kuropatwy, najlepiej się przechowują i podróżują w długich, nie wysokich pakach z otworami dla wentylacyj i światła i z wierzchu obitym płótnem w celu nieuszkodzenia główek, przy podskokach.

Odpowiedni pokarm sypie się obficie na dno paczki.

Oprócz naczynia z wodą, dobrze jest także, włożyć moczoną gąbkę, oraz pewną ilość sałaty, świeżych buraków, czy innych roślin zawierających duży procent wligoci. Jest to bardzo ważne podczas przewozów kolejowych.

III.

Jestem przekonany, że leśnik polski— jako „creator" i czynnik rozkwitu fauny krajowej w naszych zoologach może się stać siłą pierwszorzędną.

Jakąż radością będzie, dla całej szlachetnej korporacji — najszlachetniejszego z zawodów, jakiem niezawodnie jest leśnictwo — oglądać później, przy sposobności, dzieło ich żmudnych zabiegów i pracy, umieszczone w wygodnych „wolierach", wzorowych ogrodów stolicy, czy też Poznania!

Leśnicy polscy, niech dopomogą Warszawskiemu Zoo — do skompletowania, nikłej obecnie fauny krajowej! W nich i myśliwych — cała nadzieja!

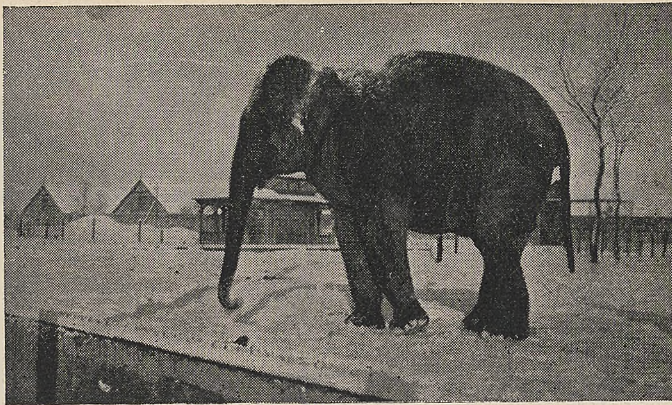
Adam Rzewuski



„Lusia" z Warszawskiego ZOO
Fot. J. Pankowicz-Czempińska



Jaś i Kasia w kąpieli



Kasia myśli o Jasiu...

SZPAKI

Zaledwie przedwiosenne słonko roztopi śnieżne powłoki na polach, okowy lodowe na strumieniach i stawach — już szpaki wracają do nas z zamorskich krain, napełniając gwarem przestworza. Gdy zaś wichry mroźne ustaną i słonko poranne milej zaświeci usadawiają się wysoko w koronach nagich jeszcze drzew, szczebiocąc i pogwizdując, rozpatrują się za dziuplą, lub domkiem sztucznym, gdzie pragną założyć gniazdko rodzinne.

Czarne jego pióra mają połysk zielonawo - fioletowo - metaliczny — w stroju zimowym końce piór są białawe, lub brunatnawe.

Dziób matowo - żółty; nogi czerwonawo - brunatne. Samiczka odznacza się większą ilością plamek i jest nieco mniejsza od samczyka.

Szpak, zwany także przez ludność wiejską skworcem, jest ptakiem leśnym, jednakowoż gnieździ się często także w okolicach całkiem nieleśnych, skoro tylko znajdzie stare jakiekolwiek dziuple, najchętniej zamieszkuje urodzajne niziny w lasach liściastych, w których spotyka się stare dziuplaste pnie.

Chętnie przebywa też w okolicach takich, gdzie na rozległych pastwiskach pasie się bydło, a nawet siada na pasące się krowy, by oczyścić je z rozmaitego robactwa skórnego.

Szpak jest ptakiem bardzo pożytecznym. Wybiera on nietylko za pługiem skrzętnie pędraki, wygrzebując je z ziemi, lecz wogóle jest on wielkim tępicielem pędraków i gąsienic, które ustawicznie prześladuje na ziemi i na drzewach.

Lęgi bywają już dość wczesne, bo niekiedy już w marcu znaleźć można siedzącą samicę na jajkach, która lęże dwa razy do roku. Jajek składa 5 — 8 o kolorze niebiesko - zielonym, połyskującym.

Ptaki te podczas lęgu, w poszukiwaniu żeru odlatują bardzo daleko, czego nie czyni prócz jaskółki żaden z ptaków pożytecznych.

U nas, pozostaje on do późnej jesieni — a w czasie łagodnej zimy dość często przezimowuje. Zwykle w październiku zbierają się w liczne stada, składające się z setek, a niekiedy tysięcy sztuk i odlatują do krain południowych.

Miłego tego śpiewaka, niosącego tak niezmiernie wielkie korzyści leśnictwu i rolnictwu powinniśmy ochraniać na każdym kroku. Przedewszystkiem niszczenie piskląt przez różnego rodzaju smakoszy ludzkich, winno być surowo potępione. Należałoby mu stworzyć odpowiedniejsze warunki bytu i wogóle starać się przez zakładanie sztucznych dziupli i domków, do których stosunkowo łatwo się przyzwyczaja i bardzo chętnie wyprowadza swoje pokolenia.

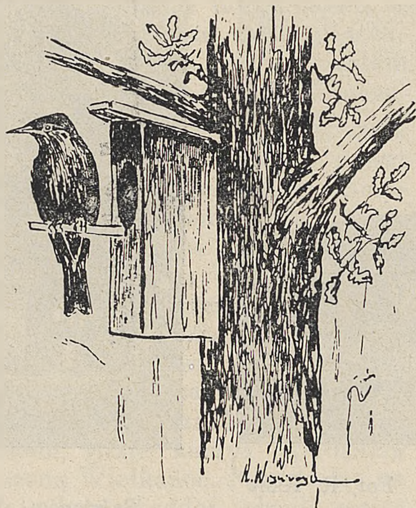
Skrzyneczki takie, które każdy z łatwością sobie zrobić może, zawieszać należy dość wysoko na drzewie, wylotem zwrócone na południowo - wschód. W odpowiednio założonych dziuplach już pierwszej wiosny będą się gnieździły szpaki — a poniesiony trud stokrotnie wynagrodzą człowiekowi swoim miłym szczebiotem i wytępieniem mnóstwa szkodliwych owadów.

Ptaki te, jak naogół się zauważa jeszcze mało zaznawają pieczołowitości ze strony człowieka, który przeważnie poprostu przez nieświadomość rzeczy nie stara się o rozmnożenie tych nadewszystko pożytecznych śpiewaków. Ochrona ptaków pożytecznych najbardziej jest u nas po macoszemu potraktowana ze szkodą oczywiście naszych lasów i pól.

Jedynie dlatego, że wiejskie szkoły powszechne, jeśli nie wogóle, to bardzo mało obznajmiają dzieci o pożyteczności ptaków, wyrostki niszczą masowo podczas lęgu, jaja i pisklęta, bo „skłerce wyżyrajom kukurydzę"...

W tym wypadku nadmienić wypada, że nader treściwa broszurka Dr. J. Sokołowskiego p. t. „Ochrona ptaków", w której czytelnik znajdzie wyczerpujące wskazówki jak obchodzić się nietylko ze szpakiem, lecz pożytecznem ptactwem wogóle powinna się znaleźć w bibljotece każdego miłującego przyrodę człowieka i myśliwego.

A. Wiśniewski



OGÓLNOPOLSKA WYSTAWA PSÓW RASOWYCH PRZY XIII TARGACH WSCHODNICH WE LWOWIE.

Od najbardziej zamierzchłych czasów w rzędzie zwierząt, współpracowników człowieka na wszystkich polach pracy, wybijał się zawsze na pierwsze miejsce wypróbowany w dobrych i złych kolejach losu, niedościgły w wierności towarzysz-przyjaciel, pies.

Dziś gdy wzajemne stosunki między ludźmi idą zawsze tylko po linji korzyści i interesów — a wygórowany egoizm jest motorem wszelakich poczynań, należałoby zwrócić większą uwagę na te stworzenia, których zaletą było i jest zawsze: brak egoizmu, samolubstwa i brutalności, wad trawiących nasze społeczeństwo powojenne.

W rzędzie wystaw — o poważnych celach tak ekonomicznych, jak i kulturalnych — nie była do tej pory uwzględniana u nas wystawa psów mimo, że miłośników ich mamy bardzo wielu. Chcąc zaradzić tej luce i dać sposobność hodowcom zaznajomienia szerszego ogółu ze swojemi pięknemi okazami psiego rodu, zachęcić do racjonalnej hodowli, opieki i zamiłowania, zawiązał się przy Małop. Tow. Łowieckiem we Lwowie Komitet dla urządzenia przy tegorocznych XIII Targach Wschodnich Wystawy psów rasowych o kierunku propagandowo-dydaktycznym, w celu zapoczątkowania pierwszych form organizacyjnych tej gałęzi hodowlanej na terenie Małopolski. Wystawa obejmować będzie rasowe

I. Psy myśliwskie,

II. Psy do stróżowania i ochrony,

III. Psy pokojowe.

Wystawa ta urządzana w dniach 3, 4 i 5 czerwca r. b., powinna zainteresować jaknajszerszy ogół społeczeństwa i zwrócić jeszcze większą uwagę na te zwierzęta, którym najwybitniejsze umysły i najszlachetniejsze serca ludzkie — jakie na szerokim świecie żyły i działały — oddawały zawsze należne uznanie.

z wędrówki po kresach wschodnich

T. JASTRZĘBOWSKI

II.

Tu na wstępie kościół nieświeski. Idźmy dalej. Oto i park, w końcu alei brama zamkowa. Wrócić chcesz w mrok czasów, odczuć tchnienie średniowiecza tak bezpośrednio, zbliska? Tedy przyjedź do Radziwiłłowskiego zamku w noc jesienną, pochmurną. Nie autem, lecz wózkiem trzęsącym. Głucho zadudnią podkowy końskie na moście, dziwnym stukiem echo rozlegnie się w bramie wjazdowej. Dziedziniec piwnicznym chłodem duszę owionie, a mury zamczyska wybiegną kędyś wysoko — ku niebu, ginąc w mrokach. Dziwne zaiste uczucie.

A nazajutrz wierzyć się nie chce, iż ten zamek wygląda tak jakoś inaczej, jakby odarty z czarodziejskiej złudzenia koronki.

Nieśwież — gniazdo magnackie — już na rubieży obecnej ziem polskich. Dalej iść już nie można, choć i tam kultury i naszych dziejów zabytki. A zatem wracamy na zachód.

W Bohdanowie zaciszny kościół drewniany, z przysadzistą — z XVII wieku — dzwonnicą. Opodal dworek prof. Ruszczyca.

Droga wije się dalej. Oto z lewej strony — resztki murów — zamek w Holszanach. Ocalała jedynie baszta północna oraz skrzydła przyległe. W resztkach zamku — mieszkanie obecnego właściciela dóbr, a w baszcie — na dole mieści się stajnia. Nie znać tu ludzkich wysiłków dźwignięcia ruin z upadku. Smutno, posępnie, mimo poświaty słońca. Stał w tym miejscu ongiś zamek — siedziba książąt Holszańskich — dziś nieistniejący. To, co przetrwało, pochodzi z końca XVI w.



Fot. R. Kinle

Krewo. Ruiny Zamku



Fot. R. Kinle

Holszany. Baszta Zamkowa

Kościół w Holszanach — w stylu baroka — oryginalny pomnik posiada — sarkofag Pawła Sapiehy. Oto cztery postacie, kute w marmurze, obok siebie spoczęły. To fundator kościoła — Paweł Sapieha oraz trzy jego małżonki. Widać, po stracie ból rychło przeboleć potrafił, a do małżeńskiego życia nawykły, należytego dla niewiast afektu nie tracił i z nową oblubienicą wnet przed ołtarzem się jawił. Ślepy los atoli za każdym razem szczęście mu bezlitośnie wydzierał, zatem trzykrotnie poczynał życie od nowa. A że człek był dawniejszy, serca wielkiego, wszystkie trzy w umiłowaniu mając jednakiem, obok siebie w zgodnej grupie ułożył, nie chcąc rozstawać się z żadną — nawet po śmierci. Zaczem może świecić przykładem tym, co do rozwodu w czasach dzisiejszych pochopni.

W tymże kościele — w stronie Borun — wielki nasyp widnieje, horodyszczem tu zwany. Nazwa ta odpowiada naszemu grodzisku, a litewskiej pilkalni. I faktycznie — kształtem wzgórze do góry sypanej podobne.

Poprzez malowniczą okolicę droga dalej nas wiedzie. Ot — i cienista aleja klonowa, a w dali kościół w Borunach. Słynne niegdyś było to miejsce ze swych szkół bazyljańskich. Tu kształcili się Odyniec oraz Ignacy Chodźko. Obecnie w murach klasztornych mieści się seminarjum nauczycielskie. Piękne położenie, mnóstwo zieleni — czynią z Borun przemiły zakątek.



Fot. R. Kinle

Nowogródek. Góra Mendoga



Fot. R. Kinle

Bohdanów. Dzwonnica przy kościele z XVII w.

Wreszcie ostatni etap wycieczki — do Krewa. Mała, licha mieścina, zrujnowana doszczętnie podczas wojny światowej. Osobliwością jedyną są ruiny zamku, ongiś dziedzictwo Olgierda, następnie jego syna Jagiełły. Tu — w Krewie — w 1385 r. unię z Litwą zawarto.

Zamek za króla Aleksandra został zburzonym przez najazd tatarów. Nie lepszego doznał obejścia w okresie europejskiej wojny. Wokół murów — nowoczesne betonowe blindaże, schroniska; wszędzie ślady ciężkich pocisków. Na podwórcu obszernym jeszcze niedawno pocisk leżał — ślad widomy współczesnej tragedji zamku Powtórzenie historji — świeża fala zniszczenia, najazdu Niemców-tatarów. Bo i czemże są dla nich ziemi polskiej pamiątki historyczne?

Baszta jedyna rozsypuje się w gruzy, strzaskane mury niszczeją. Ginie dawnych dziejów piękny zabytek — w zaniedbaniu zupełnem. A szkoda.

Smorgonie — koniec wędrówki. Akademja tutejsza dawno nieczynna, uczni bowiem na ziemiach polskich dla niej zabrakło — niestety.

Od Wilna po Krewo — szmat wielki, połać kraju rozległa, jednak wszędzie — na każdym kroku znaczona śladami naszych dziejów.

R. Kinle

WEZWANIE DO CZYTELNIKÓW

Wobec zupełnego wyczerpania nakładu Nr. 1 i 3 „Ech Leśnych" z r. b. Administracja prosi uprzejmie tych Czytelników, którzy pisma naszego nie kompletują o łaskawe użyczenie nam wymienionych zeszytów i odesłanie pod adresem administracji.

Jednocześnie prosimy w wypadkach otrzymywania „Ech Leśnych" przez abonentów, nie zamierzających regulować przedpłaty — o zawiadamianie o tem Administracji oraz o odesłanie wszystkich nieopłaconych numerów.

SPROSTOWANIE

Tytuł artykułu o przysposobieniu wojskowem leśników, umieszczony na stronie 9-tej (szpalta 3) w numerze majowym „Ech Leśnych" z r. b. winien brzmieć: „Prace organizacyjne przysposobienia wojskowego leśników", co niniejszem prostujemy.

moje lasy

Nie posiadam nawet morga zagajniku, ale mojemi są wszystkie lasy, które kiedykolwiek widziałam.

Zaczynając od dębowego lasu dzieciństwa, rozłożonego na podolskich jarach. Szło się do niego wzdłuż pól buraczanych, o liściach soczysto zielonych, wśród łanów jedynej, jaka istnieje, naprawdę złotej pszenicy. Las górą był szmaragdowy, dołem, że bez podszycia, tylko ubrany kwiatami, różnokolorowy. Rosły tam dzwonki niebywałej wielkości, liljowe i białe, na wiosnę, zanim one rozkwitły, z pod zwiędłych liści, a czasem już z pod śniegu, przylaszczki wychylały włochate główki. Na porębach czerwieniły się poziomki, tak czerwone, jak młode usta, które je zjadały.

Mazowieckie lasy sosnowe zdziwiły mnie trwałością swego wyglądu, ale ciągle leżąc na żółtym piasku wydały się monotonne i smutne.

Wielowiekowe pomorskie lasy poznałem w jesieni. Gdy dzień był jasny z wielu belwederów rozlegał się widok prawdziwie szwajcarski.

Raczej staropolski. Tak bowiem wyglądała Rzeczypospolita Jagiellonów i za czasów Kochanowskiego tak mówili, jak dotąd mówią w pewnej leśniczówce, gdzie powitano mnie imieniem Boga. Dziwiłam się tylko, że nie starym miodem.

Czasem jednak mgła zacierała nietylko dalekie obrazy, ale nawet kontury najbliższych drzew, tamowała drogi, gmatwała linje starannie przez Niemców pociętych kwadratów i wówczas szłam beznadziejnie, z doskonale narysowanym planem w ręku, zawierzając swemu instynktowi, który znaczył zbawienny kierunek. Nagą prawdę piękna drzew poznałam w Fontainebleau, gdzie kiedyś spędziłem wczesną Wielkanoc. Mieszkając na skraju lasu każdej chwili wejść weń mogłam. Niebo zaklęte w błękicie, zieleni prawie jeszcze nie było, tylko krzewy — od drzew odważniejsze — jak pisklęta pokryły się żółtym puchem.

Wówczas pierwszy raz pomyślałam, iż czas mi przestać bardziej kochać kwiaty, niż drzewa.

W całej pełni panowała tu nieomylna prawdomówność pni, ich przegięć, wygięć, pochyleń i przechyleń. Zwięzłość budowy, czystość linij — lecz również widoczne wszystkie garby, narośle, brodawki i pasożyty. Jemioła panowała na szczytach gałęzi, wyglądając niby pęk sztucznych kwiatów. Trawy nie maskowały spróchniałych i poszczerbionych kłów korzeni, ale widać też było wyraźnie jak jedno drzewo drugie podpiera swem ramieniem, jak wystrzela dziewięciopienny fajerwerek w górę lecących buków.

Na wierzchołkach drzew oczy moje szukały pozostawionych tam spojrzeń królewskich, uszy nadsłuchiwały głosu Adama Mickiewicza, który w tych to dębach, ponarskie poznawał dęby.

Lasy południowej Francji są tak nasycone żywicą, iż płoną od zapałki. Płoną całemi kilometrami, ogień z rekordową szybkością pędzi z góry i pnie się na inną wyżynę, gna go wiatr tutejszy, bachiczny mistral, przeszkód ni hamulców nie znający. A na niebie w te noce, które są pełne gwiazd i Boga, blade kopje płomieni, szalejących na ziemi.

Choć nigdy granic Europy nie przekroczyłam, podzwrotnikowa puszcza należy też do moich zdobyczy. Tyle razy widziana w kinie, ma swoje miejsce w dorobku przeżyć.

Dżungla, to las bez żadnej dyscypliny, niema w niej z góry określonego porządku rośnienia, ani hierarchji drzew, przeciwnie, jest wyścig, nadmierny wyścig wszystkich. Pewno raid między pniami,

który sąsiedni wyprzedzi i zagłuszy? Każdy więc leci wzwyż, żeby nad innemi zapanować. A ponieważ tak bardzo się spieszą, tak szybko w cieplarnianym klimacie rosną, wyglądały jak nad wiek swój wybujałe dziewczynki, ukazujące z pod krótkich sukienek długie nogi.

Girlandy ljanów tak wszystko gmatwają, iż rodzony ojciec — pień, dzieci swych, gałęzi — nie rozpozna. Dolne rośliny żyją, nie znając słońca, gdyż jego promienie zjadają górne rośliny. U ich podnóża, na ziemi, jest jak na dnie morza: blade, jednostajne, sztuczne, jakby światło budzi tęsknotę, nawet w południe senność nawodzi.

Czy kto widział las w mieście? Jest taki, jeden z najpiękniejszych w świecie. W Grenadzie, Góra Alhambry, gdzie stoi Czerwony Zamek sułtanów, pokryta jest lasem, który, choć dla wygody publiczności porznięty dobrze utrzymanemi ulicami, nic nie stracił ze swoich cech. Wielki, samowolny w rośnięciu, nigdy na nazwę parku się nie zgodzi. Posiada sojuszniczkę swej dzikości — wodę. Strumienie nad i pod ziemią, że słychać je zawsze i wszędzie, kaskady, źródła, bez laski mojżeszowej z gór wytryskające...

Rosną tu agawy i sosny, kojarzy więc w sobie Europę i Afrykę.

Podobno, jeśli stopa nasza stanie na miejscu swego przyszłego grobu, to serce zadrży mocno, jak nigdy.

Pewno będę leżała w którymś z tych lasów.

Aura Wyleżyńska

MIASTO I LAS

OD BARU DO LASU

Pan Wysprytnicki, współpracownik „Gazety Krzykliwej", śpiesząc w dniu 28 kwietnia do redakcji biedził się — ci napisać w jutrzejszym feljetonie? Zupełna pustka w głowie!

Naraz spadło mu coś na kapelusz. Gołąb, wróbel, albo kropla, przypuśćmy, wody z doniczki....

Zdjął kapelusz i zobaczył — kruszynę tynku.

Brawo! — Jest temat! Tynki lecą! Niedbałość kamieniczników, obawa życia etc. — jednem słowem bomba.

Przeszedł parę kroków i spojrzał po kamienicach — ile jest odrapanych? Ale co to? Na jednym balkonie plakat — Święto lasu, dnia 29 kwietnia 1933 roku. Święto lasu? Temat aktualny — właśnie jutro. To może o tem napisać? Ale jak, ale co?

Las pamięta, ileś lat temu majówkę w bielańskim lasku — dużo zieleni wkoło, ta słodka Cześka (co się z nią teraz dzieje?), anyżówka, nie—pomarańczówka, nie — wiśniówka-! Tak, tak — przyjemny był dzień. Ale i drugim razem, prawda, był razem z kolegą po jakiejś całonocnej eskapadzie, też w Bielanach, zasnęli w lesie i jego ktoś okradł z portfelu. Tak — lasy ułatwiają kradzieże. To z jednej strony. Z drugiej — są terenem majówek... acha — polowania (tak dziczyzna jest smaczna-!)... grzyby w lesie rosną (ale jak często ludzie się zatruwają!), no i co, u djabła, więcej mamy z lasu?

Zapomniałem — deski i podpałkę do pieca! Pozatem drzewo idzie na eksport, a przynajmniej szło jeszcze niedawno.

Lecz z jakiego tytułu robić z tego — aż święto! Możeby dać feljeton z różgą — manja świętowania?! I co miasto las obchodzi? Żeby jeszcze urządzili święto barów! To byłby jakiś sens — naprzykad, gdyby bary w ten dzień obniżyły wszystkie ceny o 50%? Byłoby to z korzyścią i dla barów, i dla publiczności. Publiczność by się pchała do wszystkich restauracyj drzwiami i oknami, a bary zarobiłyby na masie.

Ale święto lasu?! Niechby mnie zresztą zawieźli do lasu, ucztowali — no, to jeszcze napisałbym, że w lesie panuje błogostan — lecz bez tego odczuwam tylko kryzys wszechświatowy i osobisty. Co mnie las obchodzi i zające w kwietniu?

Tak rezonując Wysprytnicki wkroczył do redakcji.

Wezwano go do redaktora.

— Co pan daje w jutrzejszym feljetonie?

— Jeszcze nie wiem, albo o tynkach, bo mnie o mały włos, 10 minut temu, kawał tynku nie zabił, albo o święcie lasu.

— Jak pan woli, tynki, coprawda, codziennie spadają — lecz w wiadomościach bieżących daję już komunikat P. A. T-a o święcie lasu.

— Jeżeli bym pisał o święcie lasu — to rzecz prosta, z punktu społecznego skrytykowałbym to święto, jako niepotrzebne propagowanie manji świętowania i przeciwstawiłbym zagranicę, która takich świąt nie zna.

Zadźwięczał telefon. Redaktor podniósł słuchawkę.

— W sprawie święta lasu? Oddaję słuchawkę naszemu współpracownikowi.

— Czy panowie zamieszczają w numerze jutrzejszym jakiś artykuł, czy feljeton, w związku ze świętem lasu? — Brzmiał w słuchawce głos.

— Jeszcze nie wiem. W każdym razie, z mojego punktu widzenia — nie wiem czy wogóle takie święto było potrzebne? Ciągle świętujemy-!

— Panie redaktorze, — mówił głos w słuchawce — las ma tak wielkie znaczenie dla kraju, że idea sojuszu społeczeństwa z lasem zasługuje na wielkie podkreślenie. Zresztą cały Zachód już ma to święto wprowadzone.

— Tak pan twierdzi? Porozumiem się, zatem, jeszcze w tej sprawie z naczelnym redaktorem. A czy mógłby nam pan dostarczyć materjału do artykułu?

— Służę natychmiast, jestem leśnikiem, więc mi sprawa propagandy lasu w prasie leży bardzo na sercu.

— Oczekuje więc Pana w Redakcji. Moje uszanowanie.

W tej chwili położył słuchawkę i zwrócił się do naczelnego redaktora.

— Wie pan, panie redaktorze, my tu w mieście zbyt zajęci jesteśmy sprawami ściśle miejskiemi, może, jednak, miałem fałszywe pojęcie o święcie lasu? Zobaczymy. Podobno istnieje takie święto już na zachodzie. Poproszę pana o nadesłany komunikat.

— — — — — — — — — — — — — —

Nazajutrz, dnia 29 kwietnia w, „Gazecie Krzykliwej" w feljetonie, zatytułowanym — „Pierwsze święto lasu", pisał Wysprytnicki: „Witamy w stolicy pierwsze w Polsce Święto Lasu, które, oby, zapoczątkowało prawdziwą znajomość lasu i jego wartości dla kraju".

Sadzonka leśnika przyjęła się dobrze.

J. Milewski

SZKODA

Tak smutna jest dzisiejsza, bezwzględna pogoda,
Noc zbliża się. Za oknem spływa deszcz po rynnie.
Wtulony gdzieś w nieznanych mi środowisk wnętrze
Bawisz się, albo może spędzasz czas bezczynnie?
Wiem tylko, że coś ginie najdroższe, najświętsze,
Jedyna wartość ludzka, jedyny czar. Szkoda.

Tak, los pod stopy twoje rzucał głazy twarde,
Skrwawił serce twe, igrał, jak z rybą na wędce,
Dziś gorzko ci, gdy sprawdzasz sens tego dorobku...
Lecz możeś szczęściu rzucił wyzwanie zbyt harde,
Chcąc własny dom zbudować na czyimś nagrobku,
Lub możeś wierzył w złudę utkaną naprędce?
Dłoń nocy mgłę rozpina na dalekich światach,
Deszcz pluska. Gdzieś za oknem spływa z rynny woda,
Żal jakiś, żal na chłodnem rozpostarł się niebie.

. . . .

Słów mych nie pojmiesz teraz, lecz wiem, że po latach
Wspomnisz je, by powiedzieć po niewczasie: „Szkoda,
Żem odszedł tak daleko od samego siebie".

Nina Okuszko-Effenbergerowa





Chrobrowi Żeglarze

(Na święto morza w dniu 29 czerwca)

Pomorze, otwarte na Bałtyk, od prawieków własne wyłoniło prawdy. Samodzielnie wyodrębniło kształty swych obyczajów, nieznane z natury przybyszom z głębokiego lądu. Daleka ziemia była mu natenczas obca, gdy władni Polanie, którzy z puszczańskich borów ścierzynami nad morze przybyli, różnić się musieli od obrośniętych żeglarzy, jeśli nie gwarą układniejszą, to już napewno ubiorem zgrzebłych i lnianych szat, podstrzyżoną czupryną, zdziwieniem lub wręcz wstrętami do pierwotnych praw tubylczych, a już nadewszystko cywilizacją, jaką wniósł w dusze ludzkie Bóg chrześcijański.

To też pogański Trygław, Swarożyc płomienny i gniewny Swantewid, uparty, jak burzliwe szkwały i zwary bałtyckie, mogli długo korzystać snadniej z swej władzy, rzucając poblask śmiertelnej trwogi z piorunowych grotów. Wszak i w gniewie, czy w przystępie łaskawości byli prostsi, bardziej zrozumiali dla umysłów dzikich wojów i zabobonnych piratów od krucyfiksu na piersiach mnichów i rękojeściach rycerskich mieczy. Wiara ludzi chrystusowych trudziła niejasnością, — wszak mówili oni o wielkiej miłości na ziemi, przekonywali modlitwą, a przytem, rzecz niepojęta, srodze karali mieczem krwawym, za nieposłuszeństwo.

Więc asymilacja na modłę polsko-chrześcijańską trwać musiała z przygodami wojen do XII wieku. Że zjednała Pomorze pod władaniem Piastów, był to sukces nie najeźdźcy, lecz ewolucja jednego ducha, jaki naówczas przeszedł i w końcu ogarnąć musiał z przeznaczenia kultury całe zlewisko plemion słowiańskich pod supremacją gnieznieńskich władyków.

W tych warunkach poczęła się odtąd powolna wymiana wzajemnych korzyści, jakie winny łączyć zagospodarowane zaplecze lądu z pożytkiem i powołaniem morza — handel.

Ruchliwi, bitni Wikingowie pozostawili jego ślady na słowiańskich wodach korsarskich. We wczesnem średniowieczu nieodrazu pojmowano kupiectwo, jako wymianę. Nawet zbyt często ułatwiano sobie przeszkody w sprawach posiadania — dawnym zwyczajem morskim: czystym zyskiem za cenę cudzej śmierci. Jeszcze rozbój stanowił jednak rzecz cnoty i honoru żeglarskiego z uwagi na narażanie życia na ciągłe niebezpieczeństwa i dowody dzielności. Walka orężna towarzyszyć tedy musiała wszystkim zamysłom handlowym. Niebezpieczne szlaki Bałtyku, wiodące przez skłębioną puszczę fal, trzeba było wyświetlać, jak gęstwinę ciemnych borów, — toporem, oszczepem i młotem.

Żeglarz kupiecki nie tylko odznaczał się zwykłą przebiegłością mieszczanina, handlarza. Uważał się za coś wyższego w obliczu morza i zadań, które go tam czekały. Był wojem, pasowanym przez Neptuna, tajemnym znawcą gwiazd przewodnich, jakoby magji astronomów żeglarskiego rzemiosła, zbrojnym zarazem stróżem przewożonego dobytku. Nie gwarantował cudzych majątków, nie wynajmował swego statku dla „frachtowych interesów", ale poprostu, kupiwszy towar na targu w Dyminie, Kamieniu, czy Szczecinie, kładł go za swój, na dno własnej galjony i był mu najprzedniejszym żaglomistrzem, komandorem i kierowcą, odpowiedzialnym jedynie przed osobistą ambicją.

A handlował i wymieniał z portami, co się dało: zboże, sól, drzewo, tran, miód, żywicę, bursztyny, sukna, skóry. Sięgał brzegów Danji, Szwecji i wyspy Brytanji, gdzie miał wielu znajomków. Przezornie nie zapuszczał się dalej, wiedział, czem to pachnie. Ileżto razy bowiem sam schodził śmiało na kręte ścieżki korsarstwa! Ileż razy sam napadał gdy tylko zdarzyła się sposobność, a było ich bez liku! Starczyło zwiedzieć się, zwęszyć nosem cośniecoś o wojnach sąsiedzkich krajów, czy pomstach kilku portów, trwających w zatargu, wtedy, pod pretekstem służenia lepszej stronie, zahaczał dziobem w abordażu napadnięte słabsze galery, czy brygi i po bitwie wręcz, brał łupy, zgromadzone suto pod pokładem.

W takich pływankach łacno było popaść w niewolę razem z załogą i statkiem, łacno było wrócić po stokroć bogatszym. Hazard!...

Morze od słowiańskiego zarania wywierało swój specjalny wpływ na charakter i moralność tych ludzi, których wychowywało. Inaczej rozwiązywało zagadnienia bytu i życia ludzkiego, niż na lądzie. Tu, siła zawsze górowała nad werdyktem pisanym, bogactwo zaś nad wszelkim szacunkiem: ubóstwo świadczyło o zupełnej bezwartości człowieka.

Gdzie uderzały fale o brzegi, tam ziemia choćby uduchowiona swoistą kulturą, poddawać się jednak musiała niezwyciężonym z nawyku prawom morskim, podanym z ust do ust, z pokolenia na pokolenie, z warugi na warugę.

Według tych praw, ląd był od parady zyskownym obrazkiem na obojętnej mapie, a wody słone, z Bałtykiem, wysłodzonym przez „plugawe rzeki", — w których głuchty i ślepły dobre ryby oceaniczne", — to dopiero była kraina żywa, zakłopotana, jak dom i zagroda, to dopiero lemiesz pod skibą rudła, to kopalnia wszelkich możliwości i głębny teren wszechznanych kątów.

Rycerstwo, szczycące się klejnotem herbowym, w pogardzie wszelką chamską chudobę mające, chybiało władną ręką na morzu Handel starodawny z korsarstwem łączony, nie godził się z jego pojęciem wojennego rzemiosła, ani też z powagą rolnictwa. Przez wyziory przybic ledwo zaznajamiali się z morzem rycerze. Koń był dla nich wszystkiem — nie zaś chybotliwy okręt.

Naodwrót, rycerscy panowie nie znaczyli wiele w oczach surowych wilków morskich, brodaczy w tłuste skórznie przyodzianych, zarośniętych na gębie, jakby kidzyną, wodorostami okrętów, bywalców dróg nagłębinowych. Ci, cenili się niemniej, wynosili przecież swe doświadczenia ponad szlachectwa rodowodu, mieniąc się dumnie skoligaceniem z trytonami na flagach wysokopiennych masztów. W swem mniemaniu byli również „sobiepanami" dla cudzych zazdrości. Okrętnicy, nie koniarze. Wyrośli z jodu, soli, kwarcu. Ludzie wichru od morza. W tej swojej hardości rasowej przypominali w stosunku do królewskich Piastów typowy rozmach górali, którzy kiedyś bacowali się z Janem Kazimierzem w przełęczach tatrzańskich, jakoby „po równości" bez różnicy, zato. że mu dali pomoc i znawstwo „w biedzie i poredzie".

Chrobrowe plemię żeglarzy! Trzeba się było z niem liczyć wszędzie od wyspy Rugji do wideł Wisły, gdzie na tuziemskich palach i rybackich ławicach rozbijało właśnie nowe, okazałe gródmieście portowe — Gyddanyz. Lud morski, jak zawsze i wszędzie! Wprawdzie chętny, a nawet poręczny rozkazom, szedł na Bałtyk wraz z zwartą falą, lecz tam się wyuczył swobody samopas. Nie łatwo go, bywało, kruchą pieczęcią do kuszących przywilejów ziemskich przywiązać. Miał swoje własne, — na wodzie pisane. Szukaj, a znajdziesz...

Jak podają żywociarze apostoła Pomorza, św. Ottona, łączyli się na odgłos





Z nad polskiego morza

rogu po miastach, schodzili tłumem z jantarowego wybrzeża czy we Wołogoszczy, Dyminie, albo w Szczecinie. Zawierali radę, gromadzili kilkanaście, i więcej, zbrojnych i jucznych okrętów, poczem wyruszali z pływanką dla sprawunków korsarsko - handlowych. Nieraz w Wolinie albo Chozegowie ostawały w ten sposób tylko niewiasty, dzieci niedorosłe głową nad burtę i starcy. W oczekiwaniu trwali, wypatrując wieści od morza, bodaj pobłysku żagli na matni horyzontu, migającego światełkiem nadziei. Cierpliwi, zamyśleni, zdani na łaskę siewierzu.

Po miesiącu i dłużej wracała flotylla, często o wyszczerbionych burtach lecz równie, nierzadko, cięże] ładowna w towar i zdobycz. Wtedy sprawiedliwa rada dzieliła łupy śród walecznych i walecznieiszych. Ci ostatni, dochodzili, rzecz prosta, do większych bogactw, a po kilku takich szczęśliwych nawrotach z pływanki, budowali domy, wysokie, a przedziwnie ciasne w obrębie wałów miejskich lub stawali się zagrodnikami na pobliskiej ziemi, właścicielami stad i niewolników. Za złoto wkupywali się do możnych żagielników, handlarzy. Zyskiwali zaufanie pośredników, oraz wymieniaczy towarów lądowych. Zżywali się z szyprami rzecznymi, dostawcami zboża z zaściennych zaświatów, ściąganego na tratwach i dubasach. Inni, wierniejsi pławbie, brali się znów do celowania siekierą nowych drzewianych korabów i prowadzili swój awanturniczy żywot na zmiennem morzu, aż do chwili niepamiętnej śmierci i lutego pogrzebu w zielonej głębinie.

Mieściło się w tym okresie pływanki bałtyckiej dużo przedziwności i kuszącej mocy skoro polańskie dłonie ciekawie chwytały się nauki hysowania i ani kto wiedział, jak zrosły się z bardunami, trzymiącymi maszty linami i upodobały sobie piaszczysty strąd.

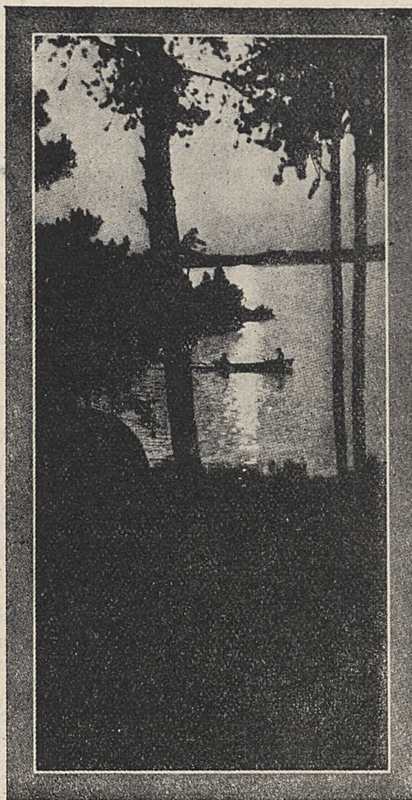
Sprzęgało się z roku na rok mocarstwo piastowe z Pomorzem. Wychynęło na świat ramię, aż rozsławiło mowę lechicką na okrętach wielkim kunsztem przez pra-Słowian budowanych, na sposób nordyjski.

Zaroiły się nadmorskie grody, bogate teraz w polskie monety, liczone polską miarą. Na osiedlach pięły się smukłe domy drzewiane, bez żadnego kamienia stawiane, a mądrą sztukę ciesielską. Pomorzan znamionujące. Przy targowych dworcach cieniły się, w ciżbie tłumnej, ulice.

I tak, w cichym dotąd Uznoimie, gdzie zamieszkali klasztorni zakonnicy zabrakło rychło skupienia do modlitwy. Skarżą się znagła ich kronikarze na zachłanność kupców gardłujących, ciasnotę miejsca, gdzie głos wrzaskiem się rozlegał, na niedbałość w innych sprawach, zanieczyszczoną wodę i — zepsute powietrze.

Bo rybactwo miało swój okres dobrego połowu. Na „kalnych" wodach, choć wysłodzonych przez rzeki, jakoś lepiej trzymały się ryby bałtyckie: łososie, węgorze, szproty, flądèrki, sieje i pomuchle czyli łupacze. Ławice śledzi gęsto suszono i wędzono we wszystkich podgrodziach, jako przysmak najlepszy.

Niekoniecznie jednak cierpieli na tem zakonnicy. I o nich dobrze już pamiętano na lądzie, jak na morzu. Niby, ongiś, wróżbistom potęg pogańskich, składano im teraz dary wcale przymilne, to dziesięciny z opłat targowych, to podatki od trunków w karczmach wypitych, to obrywki, z ceł lub myta. Wreszcie dla uświęcenia przykrego zapachu, psującego powietrze, nadano klasztorom prawo własnego rybołóstwa, jak to byli uczynili Mszczuj II i Przemysław, książęta czuli dla duchowieństwa.



Tak działo się, drzewiej, za Piastów na Bałtyku, od Odry do Wisły, kiedy nagle w 1237 r. w słowiańskim Szczecinie, przy samych wrotach pomorskiego gościńca, nastała jurysdykcja niemiecka.

Z nieszczęśliwym testamentem Krzywoustego, zmieniło się wszystko. Niszczało dzieło. Aż, niby głaz rzucony w szor, głębinę morską, przepaść miało raz na zawsze. Na Pomorze przybyli margrabiowie brandenburscy i Krzyżacy z Henrykiem Balke — dzieje znane.

Ale gdy dzisiaj Morze Polskie obudziło się znowu po wiekach przy kępie Oksywia na gdyńskim awanporcie, gdy odżyło znowu serce, co dotąd żyło w piersiach uśpione i zagrały brzegi pod bałtycką szeleją na szczupłym i tym droższym występie wybrzeża, czas wspomnieć i wskazać na zachodnie przylądzia, gdzie nie wczora, ale z przedwczora, z dawien dawna, poczęły się dzieje pławby za Mieszka, Chrobrego i Krzywoustego, — na fundamentach starego grodziszcza, Szczecina.

**
*

Płynąłem tam niedawno po szerokich wodach Świnoujścia, przezwanego obecnie, dla niepoznaki, przez Niemców: Swinemünde.

Po twardym sztilu szła „Wisła", dobry steam ship towarowy, w paradnym kołnierzu czerwonym na szyi komina, zapiętym zamiast spinki błyszczącym znakiem „Ż" — omen nomen „Żeglugi Polskiej". Pruliśmy dziobem szczecińską bramę, leżącą na mieliznach, wioząc aż z Casablanki marokańską „alfagras" na materace wzbogaconych burszów i junkrów pruskich.

Nad miałkim kanałem dźwięczały alarmowe boje, bijąc w dzwony poważne, wskazujące głębszą drogę pod tonaż statków.

I wtedy pomyślałem sobie, jakby upamiętnić mowę polską, którą słyszałem w ich pogłosie i w ustach wielu rodaków, witających wtedy nas, „Wiślan", w dzień marcowy, w zamarzniętym porcie, w ulicach i w tej w „Schoss - Cafe", gdzie w mgle dymu z papierosa, ujrzałem jakby pierwszy zarys mych artykułów o tradycjach Polskiego Morza.

Objaśnienia: szkwał — wicher podczas burzy morskiej; zwara — falowanie morza; galjona — żaglowy okręt; abordaż — zderzenie się statków burtami; waruga — zmiany wachty na okręcie; siewierz, norda — wiatr od północy, hysować — podnosić żagle; strąd — brzeg morski.

Janusz Stępowski

ruch, linja, rytm.

T. Jastrzębowski

Ruch, linja, rytm...
Oto trzy podstawowe warunki podnoszące ciało ludzkie do wyżyn piękna.
Oczywiście współdziałnie tych czynników musi być najdokładniej sharmonizowane.

Jeżeli któregoś z nich zabraknie, wtedy ruch i linja bez rytmu podobne są do bryły tramwajowej, pędzącej po szynach; rytm bez ruchu nigdy nie wywoła szlachetnego obrazu linji, a rytmicznie poruszać się może nawet słoń idący przez step.

Zważywszy ową wysoce naukową ekspozycję, możemy przejść do zagadnień terenowych.

Nie będziemy zaczynali od Ewy, bo tam podobno był tylko sam nagi ruch. Wprawdzie pojęcie linji nasuwał już kuszący wąż, i wdzięczne zapewne wahanie się naszej pra-matki, ale zato rytmu w tem legendarnem zajściu, ani poświeć. Zresztą cała ta historja z naszymi pierwszymi rodzicami była zgoła zjawiskiem przypadkowem, obliczonem bardziej na efekt biologiczny, niż estetyczny. Nie jest zatem podpadającym pod nasze rozważania kunsztem.

Już jednak Assyro-Babilończycy dążyli do uzgodnienia owych trzech kanonów wyrażania piękna kształtów ludzkich. Ich płaskorzeźby, gdzie ruch dla spotęgowania rytmu i linji dokonywał się niemal w jednej płaszczyźnie — do dziś jeszcze służą za wzór dla popisów choreograficznych.

Po pewnym czasie sztuce tej oddali należny hołd starożytni grecy — zwłaszcza na Olimpjadach. Ale na tem się skończyło. Utonięcie bowiem w nawale zagadnień filozoficznych, politycznych i socjalnych, a w dodatku ościenne barbarzyństwo — zamknęło na długie wieki w muzeach wzory piękna kształtów ludzkich i boskich.

Rzymianie przyjęli ten kunszt grecki już tylko w formie prawie wyłącznie schlebiającej ich wybujałym zwierzęcym namiętnościom. Średniowiecze straciło kult dla nagiego piękna, a nawet pod wpływem rozmiłowania się w przepychu, hipokryzji i perwersji zawinęło ciało ludzkie w strzępy barwnych szmat, czemu już nie zdołał przeszkodzić ani Tycjan, ani zmysłowy Rubens, ani nawet sam Michał Anioł, ukazujący piękno kształtów ludzkich przez mgiełkę zasłon. Szata przykryła ciało na długie wieki — zrosła się z niem — sama stała się oficjalnym kształtem człowieka. Rococo, barok, epoka Ludwików i Napoleonidów widziała je tylko jako grzeszną podnietę dla zmysłów.

I oto — powiedzmy szczerze — najzupełniej niespodziewanie w czasach najsilniejszego rozkwitu materjalizmu, w epoce kultu dla wszechpotężnej techniki — jakby wytryska ze związanej cywilizacją natury ludzkiej — początkowo odruch, a wkrótce już i ruch spontaniczny nawracający do klasycznej przeszłości. Bosonoga tancerka, Izadora Duncan, wynosi na światło dzienne piękno osłonięte zaledwie przezroczystym chitonem greckim i walczy mocą genjusza choreograficznego z ustalonym, zakrzepłym przesądem o nieobnażalności ciała kobiecego, podobnie, jak dwa wieki przedtem walczyła medycyna o prawo krajania trupów dla wzbogacenia wiedzy.

Kobieta wzywa swą płeć do zrzucenia oków niezdrowej dewocji, walczy z zamaskowaną orgją, wita przyszłość nieskazitelnego kształtu i toruje dlań już pierwsze drogi dla tryumfalnego pochodu — w myśl przechowywanego w muzeach greckich ideału piękna.

I wreszcie korona tych dążności — Igrzyska Olimpijskie — popis dokonanych na tem polu wysiłków.

Zakutany w fałdy ciężkich szat, mało znany kształt ciała ludzkiego, wyzwala się z kilkunastowiekowej niewoli niehigjenicznych osłon i przebojem zdobywa sobie prawo bytu i regeneracji. Kobieta staje w trykocie obok mężczyzny i odtąd ćwiczą się, jako koledzy, w rozwijaniu wszystkich mięśni ciała. I kiedy jeszcze trzydzieści lat temu, gdy znajdujący się w towarzystwie młody człowiek zdjął kurtkę, aby się wdrapać na drzewo — powstawał pisk niewiniątek i zgorszenie matek — dziś plażowanie obojga płci bok o bok, czy gra w wodzie w piłkę, lub bieg na wybrzeżu morskiem stały się potrzebą dobrze pojętej higjeny i rozwoju mięśni.



Niby grzyby po deszczu powstały szkoły gimnastyki rytmicznej, plastycznego tańca, hale treningowe oraz boiska i t. p. zakłady, gdzie kult dla piękna i tężyzny ciała — w najlepszem tego słowa znaczeniu gra dominującą rolę. Kształt ludzki uczy się tu poruszać rytmicznie i w ruchu tym wypracowywać piękno linji. Na czoło wysuwa się szkoła Dalcroza pod Droznem.

Ktoś z czytelników zapytałby mnie może, co należy nazywać pięknem linji? Odpowiedź trudna. Objektywnego piękna wogóle niema. Istnieje wszelako jakaś przewodnia nić w jego ocenianiu. I po tej przewodniej nici ku osiągnięciu doskonałości dąży gimnastyka rytmiczna.

Spojrzyjmy na taki trening. Czyżby to była tylko bezmyślna zabawa? Czyżby nie chodziło tu o nic więcej, jak tylko o pewien nieskoordynowany wysiłek mięśniowy, lub o zabicie czasu — co było ideałem dworów zniewieściałych Ludwików i wszystkich tych, którzy ich bezkrytycznie małpowali?

Ależ nie! Wszystkie te postacie — to jakby związany jakąś fanatyczną ideologją tłum prężący ramiona, nogi i tułowia, aby oderwać się od ziemi, aby zbyć ciężaru przerośniętych nieco tłuszczem mięśni, aby kształtom ołowianego częstokroć ciała ludzkiego nadać możliwie największe rozpięcie i chociażby pozory lotności. Jest to celowo zaprojektowany ruch w gimnastyce rytmicznej — ruch zdążający do osiągnięcia zalet niekrępowanego szatą piękna kształtów ludzkich.

Jest to ruch, o którym przed trzydziestu laty jeszcze się nawet nie myślało. A jeżeli kiedyś podskoczył podlotek — strofowano go za to. Gdyby wtedy podskoczyła — dajmy na to moja... babka, doprawdy skłonny byłbym posądzać ją o brak piątej klepki.

Dziś różnica wieku u płci pięknej zniknęła. Dosyć korpulentna mamusia, ćwicząca na świeżem powietrzu, współzawodniczy elastycznością ciała ze swą córką.

I słusznie!
Niema to jak młodość!
Jeżeli jest w mięśniach, znajdzie się napewno i w duchowej istocie. Żyjemy wprawdzie intensywniej, prędzej, ale nie przeżywamy się tak prędko, abyśmy w trzydziestym roku życia mogli zaśpiewać wraz z Asnykiem.

„Gdybym był młodszy, dziewczyno!
Gdybym był młodszy..."

Trzydzieści, czterdzieści lat? — ależ to młodość! Panienka dwudziestoletnia uważa, że mężczyzna wtedy dopiero dojrzewa — oczywiście jeżeli przedwcześnie nie skostniał i nie skwaśniał. A dwudziestoletni młokos nie bez zachwytu patrzy na rekordzistkę — dyskobelkę,

która pomimo... dziestej wiosny nie wychodzi jeszcze z formy.

Tak — zrozumieliśmy wreszcie, że winniśmy przeciwdziałać wypaczającej kształt ludzki starości. Wrogiem jej, a naszym sprzymierzeńcem jest gimnastyka rytmiczna.

Proszę — spójrzcie!

Oto zespół girlsów, a może nawet ich matek (spróbujcie odróżnić), który lekkim, sprężystym skokiem greckim przebiega po korcie, wzdłuż lasu.... Ileż w ruchu tym klasycyzmu! Ileż zdrowia i chęci życia! Przed trzydziestu jeszcze laty nawet podobna ilustracja uważana byłaby za nieprzyzwoitą. Dziś każde miasto, nawet najmniejsze, szczególniej w Europie i Ameryce może się poszczycić tym widokiem. A nie brak go również i na Wschodzie w Japonji. i w Chinach, gdzie tradycje szat bardziej są nienaruszalne, niż na Zachodzie.

Nie są to dawne matrony, idące przykładnie na czele swego przychówku, jak gęsi na spacer. Te mamusie zrozumiały piękno ruchu, linji i rytmu. Lecz aby osiągnąć tę lekkość, trzeba ćwiczyć, ćwiczyć, ćwiczyć...

Ileż to kilogramów niepotrzebnego kobiecie tłuszczu ulatnia się powoli, ale systematycznie przy ruchu w takt dźwięków melodji wydobywającej się z gramofonu, który stoi tuż na łączce! Ileż tu wybuchów zdrowego śmiechu podczas nieudanych częstokroć prób unoszenia się na jednej nodze przy jednoczesnem rozłożeniu ramion dla zachowania równowagi! Ileż to przybędzie takiej pani zaczepnej energji w stosunku do płci brzydkiej — w zamian za utratę niedawnych fałd na nogach, ramionach i brzuszkach!

Życie staje się inne, — ponętniejsze, wypełnione bardziej wiarą i nadzieją młodości, którą zatrzymuje w miejscu gimnastyka rytmiczna. Zmienia się świat zainteresowań, poglądów, a często i psychika kobiety. Jeżeli matka spróbowała na sobie skutków działania tego eliksiru młodości — już wie, jak ma przygotować do życia młode pokolenie. Ba! — Gdyby nawet nie uważała za właściwe odtłuszczać się, córka nie pójdzie jej śladami. Objawy te spotyka się dziś na porządku dziennym. Oto przykład: ojciec — wielbląd dwugarby, po naszemu zajeżdżony koń wodziwodzki; matka — nie powiem — że gęś, ale... otłuszczona pawica. A córka? W piątym roczku — wirujący fenomen; w dziesiątym — cud techniki tanecznej; a w siedemnastym sprawia wrażenie, jakby zeszła z cokołu, na którym własnoręcznie ustawił ją mistrz Jackowski w Parku Paderewskiego.

Wiek dzisiejszy od dzieciństwa zaprawia już mięśnie do rytmicznego ruchu, do układania ich w estetyczne naturalne linje, hartuje na zmiany atmosferyczne, czyni wytrzymałym na obrażenia i dolegliwości. Uczy szybkiej orjentacji i oceny sytuacji bez namysłu — odruchowo.

Dziś w epoce wypełnionych samochodami ulic, gdzie na każdym kroku zniedołężniałemu ciału grozi niebezpieczeństwo, w wieku niemilknącego pośpiechu, kiedy kobieta częstokroć przy sterze auta musi przebiegać dalekie przestrzenie; dziś, kiedy samolot zyskał już prawo obywatelstwa, jako środek komunikacji, na równi niemal z pociągiem, a zdystansował wołową podróż konnym dyliżansem — kobieta winna posiadać wszystkie te cechy fizyczne, jakie posiadali dawniejsi grecy, a jakie posiadały-



Fot. St. Błonarowicz

„Tancerka" — rzeźba Jackowskiego w parku Paderewskiego w Warszawie

by niewątpliwie również ich białogowy, gdyby zetknęły się z naszemi sportsmenkami.

Trudno byłoby w krótkim przeglądzie ćwiczeń gimnastycznych wyliczyć wszystkie ruchy, ale jest ich niewątpliwie tyle, ile ich można wykonać. Rzecz zrozumiała, że znajdą się wśród nich i pokraczne, śmieszne — wszystkie jednak zdążają do jednego celu: Nadania ciału kobiety kształtów, zbliżających ją do posągów Fidjaszowych.

Bo nawet rozmyślnie przybierana poza pokraczna nie wzbudzi wrażenia niesmaku, o ile pozwoli sobie na ten eksperyment kobieta o nieskazitelnych linjach ciała. Za przykład niech posłuży nam czarna piękność, Józefina Baeker, naśladująca młodą małpkę.

Jeżeli wielki artysta-rzeźbiarz mógł pomyśleć idealny układ mięśni kobiety — czemużby kobieta współczesna, pracując systematycznie nad praktyczną stroną tego zagadnienia, nie potrafiła doprowadzić kiedyś żyjących kształtów ciała swej płci do marmurowych wzorów greckiego artysty?

A nie należy się zrażać, kiedy dziś lustro powie obnażonemu ciału, że nogi jego rozwinęły się nieproporcjonalnie w stosunku do tułowia, że ramiona nie posiadają wymaganej elastyczności i okrągłości. Podnoszenie kuli, rzucanie jej i wysiłek utrzymania nóg w równowadze na drążku — osiągną wreszcie zamierzony cel: u góry przybędzie, a na dole... ubędzie.

Przyroda bowiem jest tylko gliną, w której uestetyzowany duch człowieka winien rzeźbić, nie zrażając się niepowodzeniami. Zadaniem człowieka jest poprawiać zdegenerowaną rasę. W niej bowiem tylko odezwać się może duch bohaterskich przodków.

Jakich? Tych, którzy znali wolność nieoszpeconą szatami, broniącemi, rzekomo, ciało przed atakiem zmysłów. Zmysły bowiem, podobnie jak chwasty, tem silniej wyrastają, im gleba jest bardziej zaniedbana.

M. Jarosławski

W LASACH NA LITEWSKIEJ GRANICY

Jest około Druskienik pas ziemi, wąskim klinem wchodzący w ziemie etnograficznie polskie, a zamieszkały przez chłopów litwinów. Największe stanowią oni skupienie we wsi Rotnicy, biorącej nazwę od pięknej rzeczki Rotniczanki. Ciekawość jest naturalnym stanem u kobiet, ludzi genjalnych i u dziennikarzy, a że należę do jednej z tych ludzkich kategorji, więc ciekawością powodowany postanowiłem poznać stosunki, panujące w takiej wsi i dokonać cennego wywiadu z autentycznym potomkiem Budrysa dla moich czytelników.

Do takiej wsi trzeba iść długo, jeśli się pogardzi takiemi środkami lokomocji, jak będącym dysonansem w tych okolicach samochodem lub koniem. Koń nie jest dysonansem, bo nie skraca dystansu. Ludziom nerwowym i tak jak ja chorującym na pośpiech, nie zaleca się zasadniczo jazda koniem tutejszym. Takie bydlę, zaledwie od ziemi odrośnie (a nigdy tego po ludzku, czy po końsku, jak się należy, nie zrobi), już brykać przestaje, robi minę obojętną i filozoficzną, ogon raz na zawsze do ziemi opuści, i tak po niej flegmatycznie utyka, jakby tym swoim utykaniem matce ziemi wielką sprawiało radość.

Najlepiej więc podróżować tak, jak nasi praojcowie w starokamiennej epoce na łowy w puszczach tutejszych chodzili. Korzyść z tego podróżowania wyniknie niewątpliwa, bo poznać będzie można czar tutejszego boru — lasu takiego, jakich dziś mało nawet w polskiej ziemi lesistej. Odetchnie pierś żywicznem zdrowodajnem powietrzem. Oczy, zmęczone ludzkiego mrowia ruchliwością, w leśnej pustce, pełnej słoneczno-zielonych plam na mchowej murawie, pełnej kolorów łagodnych, a zawierających w sobie esencjonalne barwy życia — wypoczynek znajdą dla siebie i dla umysłu, bogosławiony wypoczynek, jaki daje malarka — natura. Malowała ona te lasy, obraz dla tych zabłąkanych, którzy w tęsknocie za odmianą, oczy swe pragnęli napoić barwami ciszy i słońca. Ucho, biedne ucho mieszkańca wielkiego miasta, wciąż rozdygotane natrętnym gwarem obcego życia, znajdzie w lasu szumie melodję ukojenia. I przez ową melodję i dzięki niej w dusze wpływa błoga radość, modlitewna radość wyzwolenia z pod ciężaru istnienia w cywilizacji. I szedłby człek w te melodje zasłuchany, w te barwy leśne zapatrzony, szedł niewiadomo gdzie, aby zupełnie, zupełnie w ich gąszczu zagubić świadomość innego życia, swego życia w dalekich, kamiennych więzieniach miast. Bo się lasami tu idzie, ale jakiemi!

Sosny jaknajprawdziwsze, sosny rosną śmigłe, prościuteńko do błękitnego nieba, wiewiórki po nich tańczą mazury, orzechami w przechodnia rzucają, jakoże do płci pięknej należąc, w naturze już swojej mają kokieterję i figlarność.

Trzeba zrozumieć, że w takim lesie, co się ciągnie niezliczoną ilość kilometrów, a jest poważny, niegadatliwy, bo sosny należą do drzew statecznych i jak

tych lasów mieszkańcy, małomównych, że w takim lesie wiewiórek filuterność to jedyny objaw zainteresowania przybłędą z miast dalekich i sercem całem dziękować należy, że się znalazła w poważnej i w sobie zadumanej kniei jedna żywa istota, co jakie takie zdradza zainteresowanie dla naszej osoby.

Niegadatliwy jest las.

Stoją w słońcu sosny i mało się kołyszą. Są jakby w niebo zapatrzone od spraw ziemi dalekie, chociaż mocno w piaski i wrzosy korzeniami wrośnięte. Tylko Rotniczanka szemrze śród mchów, po gałęziach i pniach w jej łożysko spadłych. Dzika jest, zarośnięta drzewami, pniami porosłemi mchem zwalona: woda w niej ciemna — ot, rzeczka z bajki Grimma, w której falach kąpać się lubią krasnoludki i leśne boginki. I w lesie tym przypominają się dzieciństwa sny naiwne, sierotki Marysie zbierają czarne jagody.

Ale oto i wieś litewska.

Jakaż inna od wsi polskich równinnych Mazowsza, Łowickiego czy Wielkopolski?

Wielka w lesie zagubiona, lasem otoczona polana, a raczej plac, na którym ani jedna najlichsza nie rośnie trawina. Piasek. Jaki piasek? Nogi się w nim tak powłóczy, jak w śnieżnych zaspach.

Na tym piasku czarodziejskim sposobem przymocowały się do ziemi drewniane chaty chłopów. Z belek, desek klecone, słomą kryte, starą słomą; dziurawe, dachy. Gdyby lasy tej wsi nie osłaniały i gdyby wiatry wielkie przyfrunęły lotem huraganowym, porwałyby te chatki z tumanami piasku i zaniosły do Niemna, a może i za Niemen. Tylko Bogu dzięki— są duże lasy i małe wiatry.

Stodół, czy śpichrzy koło chat właściwie niema. Jakieś chlewiki, w których coś żywego czasem się poruszy. Ludzi nie widać, z wyjątkiem dzieci w piasku z nędznemi psiakami baruszkujących. No, i kilka kur grzebie beznadziejnie piasek. Izby nie pozamykane, nie trzeba się obawiać złodziei w chatach. Gliniany dzban na oknie, gar ziemniaczanki nad paleniskiem. Smutna, biedna wieś.

Szukam ludzi. Kobiet nie widać. Pracują w polu. Tutaj jeszcze nie zaginął



Widok na miasto Fot. Jan Kwiatkowski

ten szlachetny i narody w moralności trzymający obyczaj, by żona pracowała na pana i władcę swego oraz potomstwo, aby pan i władca mógł fajkę, czy lulkę palić, do gawronków kamieniami z procy strzelać ku radości potomstwa, lub o podatkach rozmyślać.

To też łatwiej znaleźć we wsi mężczyznę, niż kobietę. Znalazłem. Zaczynam rozmowę, a raczej wywiad, jak żyją, czego chcą i t. d. Ano, jak żyją! Zwyczajnie!

Biednie i leniwie. Trochę ziemię pokopią; kartofli, owsa, lichego żyta nasadzą. Zasieją baby żyto, owies, tatarkę zbiorą, kartofle wykopią i przyjdzie zima, z nią długi zimowy sen, przerywany niechętnie jakąś małą młocką, ślubem czyimś, czy czyimś pogrzebem, awanturą, wódką i żydem.

Żyją tu i jedzą ludzie jednostajnie. Nagotuje baba lichej zupy z wody i z kartofli, ziemniaczanką nazywanej, wisi to jadło nad ogniem dzień cały, albo i dłużej, kto chce jeść z buta drewnianą wyjmuje łyżkę, i je ile chce. Potem śpi, może coś robi, może nic nie robi. I biegną dnie i tak omija życie w tej na piaskach zbudowanej, śród lasów zagubionej wsi litewskiej.

Piosenka rzadko ciszę przerwie, rozmowa po litewsku, po polsku, czy białorusku prowadzona gubi się w tej ciszości, słowa w piasek padają i na piasku konają monotonne.

Kiedyś, przyjdzie w te lasy życie od dalekich dróg, od bitych szos, od kolei stalowych; przyjdą ludzie głośni, pracowici, obudzą te lasy, przetrzebią, piaski tak mądrze uprawią, że rodzić ziemia zacznie żyto takie, co dobrze od ziemi wyrośnie, pieśni się rozlegną i wesołe rozmowy, kobiety będą miały więcej czasu na plotki i lepszej strawy warzenie.

Kiedyś, może prędzej, niż się tu spodziewają, (chociaż się tu tego wcale nie spodziewają) zaludni się ta ziemia małoludna przybyszami z mazowieckich czy innych stron.

Ale teraz sosny patrzą w niebo, a ludzie nigdzie, koniki wloką się do celów swoich wieczność całą, żyto nie chce rosnąć, pasek pod stopami skrzypi, grzyby i jagody mało kto zbiera, kobiety sierpami zbierają owse, chłopy z zaszuszonych liści kręcą papierosy. Cicho jest i leniwie; dla tego kto ciszy i lenistwa spragniony, temu tutaj właściwie jest najlepiej.

Ludomir Rubach



Gdy tarnina zakwitnie... Fot. Jan Kwiatkowski

ECHA LEŚNE

WINNY CORAZ GŁĘBIEJ SIĘGAĆ DO SPOŁECZEŃSTWA, WIESZCZĄC PRAWDĘ O LESIE...

LEŚNIK POLSKI POWINIEN W TEM „ECHOM" DOPOMÓC!

COŚ DLA PAŃ

KILKA SŁÓW O MODZIE

Co będziemy nosiły latem? Jedwab? Wełnę w dni dżdżyste i chłodniejsze? Owszem, może być i tak, jeśli kto chce koniecznie. Ale przedewszystkiem — płótno. I to właśnie takie zwykłe, szare „ścierkowe". Jak się to paniom podoba? Kolor „ścierki" ma być najmodniejszy. Ze swej strony muszę się przyznać, że nie mam nic przeciwko temu. Płócienne sukienki, kostjumiki, a zwłaszcza płaszcze od kurzu są praktyczne, skrojone zaś pomysłowo i zgrabnie posiadają swego rodzaju wdzięk i elegancję. Obok płótna ujrzymy całe szeregi odmian piki, kretonów, muślinów. To już na wieczór. Rano, obowiązywać nas będzie płótno, bądź pod postacią płaszczyka, lub kostjumu, bądź wreszcie, jako lekka, skromna sportowa sukienka.

„Nareszcie, mamy modę na materjały naprawdę tanie i praktyczne" — pomyśli z ulgą niejedna z czytelniczek. Że praktyczne, to nie ulega żadnej wątpliwości, ale czy pozostaną one tanie, zwłaszcza w sezonie i to wtedy, gdy ich wyrobem zajął się już podobno sam wielki Rodier, dyktator mody w Paryżu? Mam wrażenie jednak, że mimo wszystko lekkie płócienko, lub barwny kretonik będzie nas zawsze taniej kosztował, niż względnie dobry jedwab, który zresztą i tak nas już nie obchodzi, bo któżby sobie sprawiał jedwabne sukienki, wyjeżdżając na lato na wieś?

Do płóciennego, a nawet wełnianego kostjumu obowiązuje odpowiednia bluzka. I to nie byle jaka, lecz wykonana cała z koronek ze zgrzebnych, lnianych nici. Panie obeznane z szydełkiem mają tym razem duże pole do popisu. Takie bluzeczki wyglądają prześlicznie na błękitnym, lub morelowym spodzie. Koronki i wstawki lniane będą używane również, jako przybranie do sukien. Z materjałów bawełnianych będziemy najczęściej spotykały pikę i to podobno nawet w połączeniu z jedwabiem. A więc do czarnej jedwabnej sukienki włożymy biały, pikowy żakiecik. Widziałam już nawet w sklepach rękawiczki, posiadające pikowe mankiety.

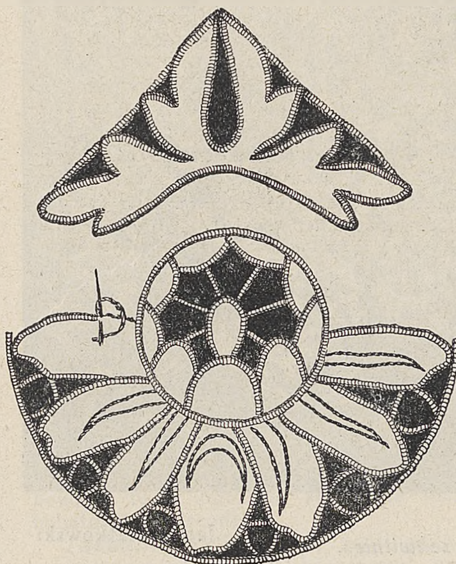
Linja sylwetki pozostaje narazie ta sama, szeroka w ramionach, w biodrach wąska rozszerzająca się ku dołowi. Wszelkie wolanty i pelerynki będziemy spotykały dość często i to nawet w odmiennych barwach, niż całość. Widziałam np. bluzeczkę koloru jasnoszarego, przybraną pelerynką błękitną. Całość wyglądała bardzo efektownie. Panie pomysłowe i posiadające różne większych rozmiarów resztki, mogą urozmaicić swą garderobę, sprawiając sobie do jednej bluzki dwie, lub więcej pelerynek, każda w innym kolorze, przypinana w razie potrzeby. Do tego zresztą możemy zużytkować stare sukienki, nie nadające się już do noszenia w całości, z których zato dałoby się wyciąć parę kawałków na pelerynkę, lub wolant. Oczywiście mowa tu o bluzkach z materjału, a nie z lnianej koronki, do których tego rodzaju ozdoby nie pasują.

Kapeluszy z rondkami widzimy coraz więcej. Są one przybrane wstążką, a niekiedy dużem, szerokiem, pojedyńczem piórem, leżącem płasko na rondku. Wśród istnej powodzi wszelkiego rodzaju słomek, plecionek i t. p. dają się zauważyć modele wykonane z tak modnego wiosną „flamisolu", którego jednak nie polecam, gdyż materjał ten jest wyjątkowo niepraktyczny, gniecie się i traci wygląd zaraz po pierwszym deszczu.

W dziedzinie obuwia mamy tym razem duży wybór, co nie przeszkadza temu, że pantofelki popielate od jasnych do najciemniejszych zdobyły palmę pierwszeństwa. Obok nich króluje barwa czarna i ciemnobronzowa. Dużo stosunkowo mamy najrozmaitszych odmian „wycinek", bardzo praktycznych i wygodnych na lato, zato tak miłe i chętnie noszone „plecionki" pozostają narazie w cieniu.

SERWETKI

Wzór podany na ilustracji może wydawać się na pierwszy rzut oka zbyt trudny do przerysowania, zwłaszcza, że z braku miejsca musieliśmy go podać w zmniejszeniu, sam kwiat zaś, który rozumie się samo przez się, powinien być ze wszystkich stron otoczony płatkami, posiada je tylko do połowy. Jeśli jednak wzorek ten obejrzymy uważnie, przekonamy się, że nie jest on wcale tak trudny i że przerysować go, powiększając do dowolnych rozmiarów, jest jedynie kwestją cierpliwości i uwagi. Narożnik, który tu widzimy, rysujemy w powiększeniu na kawałku papieru, poczem zapomocą kalki przenosimy na materjał, ozdabiając nim wszystkie cztery rogi. Podobnie postępujemy z wzorem kwiatu, dorabiając mu jednocześnie brakujące płatki. Kwiat ten umieszczamy pośrodku serwetki. Wielkość koła w którem kwiat jest zamknięty, równa się mniejwięcej rozmiarom dużego spodka, odwróconego dnem do góry, przy pomocy którego możemy koło to obrysować. Wzór ten, jak widzimy należy wyhaftować ściegiem „Richelieu", który jest łatwy i nie zabiera zbyt wiele czasu. Serwetka taka wygląda najładniej, jeśli jest wykona na lnianem, niezbyt grubem płótnie, bawełną Nr. 16, lub 20, zależnie od grubości płótna. Narożniki nie powinny dochodzić do samego brzegu serwetki — musimy umieścić je tak, by odległość wynosiła dwa do trzech cm. Zamiast obrębu obszywamy serwetkę koronką klockową.



N. Okuszko-Effenbergerowa

W SPRAWIE NOWEGO TYPU MĘŻCZYZNY

Zainteresował nas bardzo artykuł pani Janiny Rosnowskiej. Niejako wezwanie kobiet do zabrania głosu w tej sprawie.

Zebranie towarzyskie, na którym artykuł ten przeczytałam, dało tyle materjału, że nie wiem, czy ramach jednego artykułu zdołam go pomieścić. Naogół przyznawano ciekawość tematu, lecz nie zgadzano się z zasadniczem jego założeniem, to jest, by kobiety mogły stworzyć „nowy typ mężczyzny". Typy danej epoki, tworzy życie, nie zaś grupa tak, lub inaczej ustosunkowana do życia ludzi. Życie tworzy nietylko typ mężczyny, ale tak samo tworzy typ kobiety, społecznika — pracownika biurowego, artystę, czy wynalazcę. Jest to ewolucja życia, na którą wpływ może mieć tylko *rodzina*, ta potężna organi- mężczyzni są zbyt realni. To dało życie.

Mam wrażenie, że pani J. Rosnowskiej chodzi o pewną dozę dawnej, że tak powiem, romantyczności i kurtuazji mężczyzn w stosunku do kobiet, że dziś mężczyzni są zbyt realni. To dało życie.

Typ szkół koedukacyjnych postawił od dziecka życie mężczyzny i kobiety na linji równości i koleżeńskości. Kobieta nie mogła w oczach młodzieńca być w nimbie blasku ideałów niedoścignionych, bo życie tworzyło reał. Któraż z nas starszych nie pamięta, tych czasów gimnazjalnych. Botanicznego ogrodu, lub pomologicznego? — albo „niebieskich kołnierzy?" Życie to przerobiło na trzeźwy reał — ułatwiło współżycie — postawiło kobietę i mężczyznę od początku niejako, na jednej platformie.

Jest to brzydkie — bezsprzecznie brzydkie — gdyż cudne są marzenia młodości, marzenia idealne, platoniczne, a współżycie młodzieży, urabia typy nowe tak w kobiecie, jak i w mężczyźnie.

Muszę stanąć w obronie mężczyzn, gdyż często obcuję z młodymi ludźmi i słyszę ich zdania, a w zdaniach tych przebija nuta tęsknoty do typu kobiety dawnej, w której żona, matka — towarzyszka życia, byłaby o typie Maryni Połanieckiej. Życie rozdzieliło od wieków prawa i obowiązki i choć kobieta dzisiejsza zdobyła dużo z praw społecznych, to wyzbycie się dobrowolne, praw kobiecości — mści się na niej samej.

Dawniej upudrowanie się przy mężczyźnie, było nie do pomyślenia! — dziś karmin, ołówki do brwi, lub inne zabiegi kosmetyczne, używane są przez osoby z towarzystwa, zupełnie bez żenady wobec grona mężczyzn, tak, jak zapalenie papierosa. Mam wrażenie, że zdarcie tej zasłonki garderobianej, dużo przyczyniło się do tego, że dzisiejszy mężczyzna *„depcze w nas kobiecość"*.

Nieszczęśliwe pożycia małżeńskie są też w dużym procencie z przyczyn nowoczesnego typu obu stron; pobierają się, drwiąc ze starych przesądów życia, ufni, że nowy typ równouprawnień, da zupełną gwarancję szczęścia. Mylą się oboje. Poznają to zbyt wcześnie. On chce

mieć w domu „dawny typ żony - towarzyszki" — ona uważa to za niegodne jej zasad życia — rozchodzą się — po to, by szukać „szczęścia" po raz drugi, trzeci, a może i wielokroć razy więcej! Bywa i odwrotnie, ona jest tą stroną, która chce mieć „ognisko rodzinne", a on przejęty nowymi typami kobiet, chce życia nieskrępowanego. Małżeństwo uważał za krok etyczny wobec utartych form towarzyskich. Złości go i irytuje raptowna zmiana w kobiecie, która była przed ślubem „przecież zupełnie rozsądna, a teraz jest pełna dziwactw". Nawraca ją do dawnego typu, ale prawa życia są silniejsze — ona trwa przy nich i... rozchodzą się oboje młodzi, stworzeni do szczęścia.

Słowo „człowieczeństwo" jest to określenie bardzo szerokie, uzależnione od indywidualności danego osobnika. Mam wrażenie jednak, że najnowsze typy, tak kobiet, jak i mężczyzn, nie są w stanie przerobić odwiecznych form tego, co jest faktyczną wartością człowieka, to jest: moralność, etyka, szlachetność i prawość. Jeśli są jednostki depczące te czynniki ducha ludzkiego w kobiecie, to są to niskie, marne, i, jako o takich mówić nie warto. Jeżeli podniosłabym głos w obronie krzywdy kobiety doby obecnej, krzywdy jaką czyni jej mężczyzna, to tylko w sprawie równouprawnienia pracy.

Tutaj czyni się bezsprzecznie krzywdę kobiecie, i niema dziedziny pracy, w którejby kobieta nie była uważaną za siłę słabszą, dzięki czemu dzieje się jej krzywda. Krzywda podwójna, gdyż wiele z nich, dając pracę swą, odrywają się od życia rodzinnego, czyniąc ofiarę z uczuć rodzinnych — już tym samym są pokrzywdzone. Krzywdzi ich życie, że nie pozwala im być tymi co serce ich pragnie, krzywdzi ich prawo, które przyznaje słuszność obniżenia wartości pracy, choć tak zgoła nie jest, bo kobiety naogół są sumienniejszymi pracownikami od mężczyzn. Weźmy kasjerki — czyż były takie olbrzymie sumy sprzeniewierzeń przez kobiety, jak są to robione przez mężczyzn? A życie wsi? gminy? czemu nie posiadają miejsc wójtów kobiety? Napewno gospodarki gminne lepiejby stały. Te i inne pomijania współpracy kobiet, są krzywdami kobiecych zdolności, zasad i sił twórczych.

Triumf życia jest pozorny — oszołomił jednostki, ale naogół są to typy dawne, przykryte tylko patyną nowoczesności. W każdej tkwi Monika, lub Anna, lub — niestety — Antosia, jak to świetnie w sztuce, „sprawa Moniki", widzimy — serce zawsze jest sercem.

Urobienie nowego typu mężczyzny, to raczej ukryta chęć w duszy i sercu kobiet, powrotu typu mężczyzny dawnego, z jego zawsze chylącą się głową w stronę kobiety. Ustępującego jej miejsca nietylko do... siedzenia (choć trzeba przyznać, że się to teraz rzadko zdarza!), ale i w życiu.

Trudno, takiej galanterji nie możemy się spodziewać nigdy, gdyż walka o życie trwa od wieków i trwać będzie też wieki. My możemy i musimy walczyć o typ mężczyzny taki, który zapewnić może szczęście *rodziny*. A to uczynić może też tylko, jak już powiedziałam, *rodzina*. Niestety do stworzenia dodatniej czy ujemnej rodziny, potrzebna jest i kobieta. Niechże kobieta tworzy nowoczesny typ mężczyzny, posiada w sobie cały zasób walorów duchowych, nie lękając się jeśli te walory moralności i wartości człowieka będą sięgały średniowiecza! (Trudno, moralność jest jedna — od wieków niezmieniona) i wyrozumienia na postępy życia w kierunku nowoczesnego wychowania społeczno-towarzyskiego.

Mężczyzna nowoczesny, musi jako dawny rycerz, znać i cenić wartość danego słowa honoru, musi mieć silne ramię (jako i dawniej, niestety, kobiety są zawsze kobietami), idąc obok kobiety w życie, musi mieć dużą dozę inteligencji, która rozszerzając jego krąg myślenia, stawiałaby kobietę na stanowisku towarzyszki życia o równych prawach człowieczeństwa.

Równość w możliwościach zdobywania wiedzy — tworzy z kobiet towarzyszki pracy już od ław szkolnych. Nie może więc w rodzinie raptownie się załamać — musi i tam stworzyć życie rodzinne, oparte na wspólności prac przy formowaniu życia rodzinnego. Nie może tam braknąć ani jednej z cech zasadniczych istoty ducha męskiego, tak, jak i cech kobiecej duszy.

Oto place dalszej pracy, dla potomności, która odziedziczy po nas ewolucję życia. A na dziś? Widzę tylko jedną radę: — Obudźmy w sobie dawne cechy kobiet, które mężczyźni, nawet bardzo swobodni, szanowali, a napewno to pomoże, że nawet w walce życiowej o byt, o utrzymanie placówek, zdobytych siłą praw życia, prawo szanowania kobiety wystąpi silnie.

Zdobyłyśmy prawa nowe i z niemi obowiązki nowe, ale starych praw niemi przekreślić nie możemy, bo to silniejsze od nas, *bo prawo życia* ustanawiały rzeki. Siła męska była, jest i będzie tak, jak było, jest i będzie prawo kobiece — władza małego... pantofelka.

Zofja Kaczyńska

SCENA i ŻYCIE

WYSTAWA UŁOMNOŚCI.

Niema takiego gatunku w świecie organicznym, który nie ulegałby chorobom, a więc i nie posiadał ułomności. Rosną powykrzywiane, rakowate drzewa, liszajami pokryte rośliny, żyją zwierzęta obarczone typowemi chorobami, nie wolni są również od tych dolegliwości i ludzie. Wszelako gatunek ludzki reprezentuje najbogatszą i najbardziej różnorodną ilość ułomności. Społeczeństwo usiłuje zapobiegać ich rozwojowi w drodze prawnej, skazując i pakując ułomnych do więzień, lecząc w szpitalach i ułatwiając znikanie choroby wraz z osobnikiem. Do walki z ułomnościami stanęła od początku swego istnienia również i sztuka, a przedewszystkiem literatura, ujęta w formę satyry i komedji. Już bowiem w roku 414 przed N. Chr. znakomity grek Arystofanes napisał komedję „Ptaki", w której daje obraz zniekształceń psychicznych. Jest to djalogowana opowieść o przedsięwzięciu dwóch uciekinierów ze środowiska chorób ludzkich do ptasiego państwa. I tu wszakże niespokojny duch człowieka usiłuje wnieść zamęt płynący z magalomanji. Powstaje nowe panstwo ptasie, które zdobywa sobie hegemonję i dzięki niej demonstruje z sarkazmem ułomności ludzi oraz władających nimi dotychczas bogów Olimpu: skąpstwo, łajdactwa, wojowniczość, magalomanję i t. d. Teatr Polski wystawił tę sztukę po przystosowaniu jej do warunków współczesnej nam epoki, która zresztą nie wiele różni się od epoki Arystofanesa. Niezwykle pomysłowa i barwna wystawa tego widowiska, zaktualizowanego dla sceny polskiej przez p. Tuwima, pozwala widzowi raz jeszcze zobaczyć we wzmocnionem świetle kinkietów to, czego bieżąca chwila dostarcza mu powyżej gardła.

Jedną z takich ułomności ludzkich usiłuje przedstawić również **Noel Coward** w sztuce swej **„Wir"**, wystawionej **w teatrze Narodowym.** Lekkomyślna i samolubna kobieta w wieku pozabalzakowskim tak dalece zapomina się w używaniu romantycznych rozkoszy życia, że afiszuje się z 24-letnim kochankiem, chociaż jest matką 24-letniego syna. Dzisiejsza moda „niestarzejącej" się kobiety znalazła sobie oskarżyciela w osobie autora stającego po stronie młodego pokolenia. Karze on w ten sposób „Donjuannę", że sędzią jej staje się syn, którego opuściła narzeczona zakochana w satelicie podstarzałej matki. Chorobliwy instynkt użycia owej lekkiej pani jest gatunkowo bardzo ciężki. Miast współczuć synowi, sama wymaga współczucia od niego, jako „opuszczona" kochanka. Załamuje się dopiero wobec wiadomości, że syn, dręczony niepochlebną opinją o matce, stał się narkomanem. Rezultat — naiwny i sztuczny, choć rzekomo „wielce pedagogiczny": 24-letni chłop zdobywa „czułą" opiekę matki (na zamówienie?!), zakochani oczywiście znikają, aby nie mącić nowej idylli, autor zaś zaciera ręce, inkasując obfite honorarjum, co zwłaszcza w Polsce wywołuje na ustach jego śmiech zapewne ironiczny. Sztuczność, naiwność, pompa uczuciowa, gromkie słowa i nieobliczalne odruchy — a we wszystkiem brak głębokości życia i znajomości charakterów ludzkich. Jarmarczny, jaskrawy obraz sprzedawany gdzie się da na metry. Nadomiar złego jaskrawości te w Polsce udało się autorowi zareklamować przez dobrych akwizytorów, którymi byli p. Ćwiklińska (matka) i p. Ziembiński (syn). Tylko tak dalej — zasłyniemy jako kraj, do którego można importować wszelką bzdurę.

PRZEDWOJENNA ZNAJOMA.

Jakoś tak się złożyło, że po wojnie nie spotykaliśmy się. Kiedy ją ujrzałem w przelocie, zdawało mi się, że niedomaga. A może i życie powojenne — burzliwe jeszcze, raczej powierzchowne niż głębinowe, raczej obliczone na chwilowy efekt, niż konstrukcyjne, jakieś dojutrkujące, strącone z fundamentów tradycji i unoszące się, jak łódź zerwana na spienionej fali, ogłupiałe szałem chwili, niepewne perspektyw — takie życie — nie sprzyjało triumfalnemu pochodowi pięknej, otoczonej uciążliwym fraucymerem pani, która nie mogła się zdecydować na obcięcie warkoczy i podkasanie, ba! — nawet wyzbycie się sukni. To też za operetką zamknęły się drzwi lamusa. Miejsce jej na scenie zajęła rewja — damulka z półświatka, będąca na utrzymaniu domorosłych, niewybrednych talencików, szmoncesowiczów z Gęsiej uli-

cy, linoskoczków i pyskaczy, podwórkowych trubadurów i murzyńskich wirtuozów. Powstał odurzający huczek, który tak świetnie przypominał niedawny okres wojny; pyrotechnikę na tle dyssonansów i wijących się ciał — jupitery, jazzband, porachunkowy cynizm i zagłodzone girlsy. Ba — nie było przecież czasu na opracowanie melodji, ba — pierwszy lepszy pisał „kuplety". Pędzące naoślep życie i użycie sypało skeczowe konfetti, pławiło się w piosence ulicznej, jak w przejściowym deszczu, popularyzowało paszkwil, kpiło i ośmieszało — byleby tylko łuskać zdemokratyzowane cekiny, byleby nałuskać ich najwięcej, bo modne hasło — „kto wie, czy świat potrwa jeszcze dwa tygodnie" uznawało jedynie tymczasowość, nie wymagającą wysiłków prawdziwie twórczych. Ale karmione sianem życie spłatało figla szmoncesowiczom, Sonny-boyom, Koszutsky-girlsom i jazzbandytom. „Genjalni" dostawcy powojennego humoru i piosenki plajtnęli. Zaskoczony przedsiębiorca widowiskowy w pośpiechu wywlókł za długie włosy zmagazynowaną operetkę, skrzyknął spensjonowanych cyrulików, ostrzygli damę, ufryzowali, odświeżyli — fraucymer precz — i puścili na oślep na deski sceniczne. Chwyciło. I operetka rozpoczęła w stolicy triumfalny pochód. Teatr Polski, Banda, Teatr 8.30, a ostatnio — i Morskie Oko. Jim i Jill, Piękna Galatea, Zemsta Nietoperza, Peppina, Kobieta, która wie czego chce, Szczęśliwej Podróży i Boccacio — oto bogaty repertuar kilku ostatnich miesięcy.

Teatr 8.30 pędzi całą siłą pary. W operetce **„Szczęśliwej podróży"** akcja przerzuca się z brazylijskiej farmy na bruk Warszawy. Tam się pokochali — na niewidzianego, tu się pobrali. Rozmach i „tempo" jest. Ale w skoku tym widać tak ryzykowne oderwanie się od ziemi, że chwilami ogarnia widza wrażenie pustki Torricellego. „Bohaterowie" zapodziali mu się gdzieś po drodze, a za nim sie ukazali powtórnie — było już niemal po wszystkiem, prawnie bez niezbędnej intrygi. Pachnie to jeszcze przyprawą rewjową — może dlatego, że operetka ta, pozbawienia zdrowego trzonu, nie posiada również i własnego opierzenia. Lepszą była „Kobieta, która wie, czego chce", a już najlepszą „Peppina". O taki repertuar winni się starać pp. Krzewiński i Brodziński, jeżeli rozpoczęty na scenie Teatru 8.30 triumfalny pochód melodramatu nie ma utknąć na mieliźnie.

Z dobrą też prognozą rozpoczęła nowy rejs przeludniona arka Teatru **„Morskie Oko"**, wybierając na pierwszy ogień melodyjną operetkę **Souppe'go „Boccacio"**. Kto ją znał — a takich wśród bywalców teatralnych znajdzie się przynajmniej połowa — z prawdziwą przyjemnością przypomniał sobie pełne czarującej mocy duety, których autor nie opracowywał na kolanie. Kto słyszał ją po raz pierwszy — przejrzał, a poziom jego wymagań artystycznych wzrósł niepomiernie. A chociaż i tutaj wątek dramatyczny żywi się jedynie naiwną satyrą na zdradzonych mężów i studenckiemi figlami młodego poety Boccacia, to jednak zmodernizowana oprawa operetki czyni z tych żartów wdzięczne widowisko, tem więcej, że potrafiono wydobyć i podkreślić w pięćdziesięcioletniej treści atuty mające posmak pociesznej aktualności. Że zaś podane zostały w formie nieprzejaskrawionej — na długo starczy zapewne tych blasków, których siłę powiększaią Mankiewiczówna, Carrero, Żabczyński i inni artyści, znajdujący doskonałe pole dla swych śpiewackich talentów. Jeno i to należy przewidzieć, czy publiczność, zasmakowawszy znów w artystycznej operetce, nie będzie się jej domagała stale. Co wtedy? Repertuar przeszłości w tym zakresie mamy obfity, ale i ten wkrótce musi się wyczerpać, zważywszy, że nie jeden teatr wystawia już operetki, ale trzy—cztery. Trzeba więc już dziś pomyśleć o tym typie twórczości, aby wzorem rewji, nie wypychać potem półproduktów na scenę.

Mieczysław Jarosławski

PRZEGLĄD SZTUKI

Wystawa Stanisława Wyspiańskiego, Jana Stanisławskiego, oraz uczniów Stanisławskiego w Zachęcie.

W dniu 20 maja otwartą została w Zachęcie wystawa obejmująca prace Stanisława Wyspiańskiego pomieszczone w zbiorach warszawskich, oraz prace Stanisławskiego i jego uczniów. Wysoki nastrój poezji wypełnia sale Wyspiańskiego, gdzie wśród licznych studjów portretowych i krajobrazowych przeważnie wykonanych pastelami wybijają się na pierwszy plan dwa olbrzymie kartony witrażowe: „Bóg Ojciec" z nad chóru w kościele Franciszkanów w Krakowie i nie wykonany nigdzie „Śluby Jana Kazimierza".

Dla tych, którzy znają Wyspiańskiego, przedewszystkiem z jego prac późniejszych, ciekawą jest kompozycja „Ślubów Jana Kazimierza", wznosząca wiele nowego, ale daleka jeszcze od dekoracyjno - artystycznego ujęcia późniejszych jego kompozycji witrażowych.

W „Ślubach Jana Kazimierza" znać, jak nigdzieindziej pod jak silnym wpływem Matejki był Wyspiański, w pierwszej epoce swej twórczości.

Sala Stanisławskiego, to również sala poezji, poezji polskiego krajobrazu. Subtelność barw, cudowne odczucie i zrozumienie duszy i nastrojenie każdego krajobrazu, wspaniała gra świateł, oto cechy tych arycydzieł o tak drobnym nieraz formacie.

Uczniowie Stanisławskiego — dziś już od dawna samodzielni artyści i profesorowie, wzięli od mistrza ukochanie krajobrazu subtelność jasnych barw, nie dają jednak tej sumy piękna, jaką wlewał ich mistrz w każdy najmniejszy obrazek. To Kowalewski, Pracikowski, Podgórski, Scygell, Makowski, Ziomek, Krasnodębski, Gałek, Filipkiewicz, Karnasiewicz, Szczygliński, Vlastimil Hoffman, Nikarski.

INSTYTUT PROPAGANDY SZTUKI

Wystawa zbiorowa prof. Ludomira Sleńdzińskiego. Wystawa Wileńskiego Towarzystwa Artystów Plastyków. „Krypta Królewska Bazyliki Wileńskiej".

Rysunki, sangwiną i ołówkiem, obrazy olejne i tempera, płaskorzeźba i rzeźba malowane temperą i polichromowane, oto bogaty zasób technik, stosowanych przez Ludomira Sleńdzińskiego, technik stworzonych w wielu wypadkach przez samego artystę, jak te portrety i kompozycje płaskorzeźbione w drzewie, kolorowane temperą z użyciem złota i srebra. Płaskorzeźbione są tu przeważnie ramy architektoniczne, lub także tło. W kompozycjach obrazowych (n. p. „Papillons"), jak i w rzeźbach (n. p. „Parys"), czuje się w ułożeniu postaci i draperji odblask włoskiego quattrocenta, t. j. wczesnego renesansu z XV wieku.

Z wystawy wileńskiego towarzystwa artystów plastyków wyróżniają się subtelne i doskonałe w ujęciu portrety Kazimierza Kwiatkowskiego, zwłaszcza w tryptyk ujęty portret dzieci p. p. Burszów, dalej głębokie w kolorycie i plastyce obrazy Tymona Niesiołowskiego, ciekawemi plamami traktowane krajobrazy Szturmana, oraz dekoracyjno - impresjonistyczne krajobrazy Rouby i stylizowane w ciemnych kontrastowych barwach krajobrazy Jamontta.

Ciekawym zbiorem jest sala Krypty Królewskiej Katedry Wileńskiej, gdzie pięciu artystów maluję i rzeźbi w różnem, lecz podobnem ujęciu te same motywy: wnętrze krypty i szczątki Barbary Radziwiłłówny i króla Aleksandra, są to Hoppen, Batsukiewicz (rzeźbiarz), Kwiatkowski, Ruszczyc i Sleńdziński.

Zbiorowa wystawa prac Józefa Pankiewicza.

Kolekcja stukilkudziesięciu płócien, rysunków i akwafort Józefa Pankiewicza, jest niejako retrospektywną, wystawą jego twórczości.

Daty tych prac wahają się od 1889 r. po dzień dzisiejszy, nie dziwi więc, że prace same są wyrazem różnych epok i różnych kierunków sztuki. Wszędzie jednak widać rzetelność odnoszenia się do przedmiotu, szczerość w wypowiadaniu się.

Najdawniejsze prace mają ciemny koloryt znamienny dla epoki i subtelne wykończenie, późniejsze prace dają całą ewolucję impresjanizmu i pleneryzmu z szerokiem traktowaniem, jasnym kolorytem i pomijaniem szczegółów, wreszcie ostatnia praca z przed kilku lat i współczesne wskazują dalszą ewolucję.

Koloryt jasny pozostaje, ale barwa lokalna przedmiotów przychodzą do głosu. Każdy obraz nie jest impresją, lecz wiernym oporem malowanych przedmiotów. Skala tematów jest szeroka: portrety krajobrazy, martwe natury, kwiaty, kopje i, zwłaszcza z lat ostatnich, kompozycji.

Wystawa grupy „Pryzmat".

Grupa ta złożona przeważnie z byłych uczni prof. Kowalskiego, zapełniła dwie sale obrazami o pewnej jednolitości ujęcia i wykonania: jasny koloryt, moc światła. Traktowanie nieraz pointylistyczne. Rysunek nie zawsze na dość wysokiem poziomie.

Do najlepszych prac należą: portret ojca M. Różyckiej, portrety Adwentowicza i kompozycja Pękalskiego.

Wystawa prac Gierymskich w Domu Sztuki.

Bez reklamy i pretensji, urządził Dom Sztuki małą wystawę prac Gierymskich. Pokazano nam stare i cenne płótna, ukryte i zapomniane przeważnie po prywatnych zbiorach. Warto zobaczyć, zwłaszcza te drobne krajobrazy Aleksandra Gierymskiego, pełne powietrza i światła.



Leśniczówka „Radyszyn" (Nadleśnictwo Kowal) Fot. P. Olszewski

OKRĘŻNA WYSTAWA DZIEŁ ARTURA SZYKA

Artur Szyk, ten jedyny w swoim rodzaju artysta, twórca cudownych kart iluminowanych rękopisów, zdobnych w setki miniaturowych arcydzieł, urządził okrężną wystawę swych dzieł, która objedzie wszystkie większe miasta Rzplitej.

Wystawa obejmuje obok szeregu oryginałów, także reprodukcje w formie barwnych pierwodruków. Najbardziej z Polską związanem dziełem jest Statut Kaliski dedykowany Marszałkowi Józefowi Piłsudskiemu. Tekst pełen przecudnych miniaturowych ilustracji, świadczących o głębokiem odczuciu polskości, spisany jest w trzech językach, łacińskim, polskim i francuskim. Jest to zbiór przywilei nadanych żydom w latach 1264 — 1367.

Dalsze cykle Szyka, t. j. „Epopeja Simona Bolivara", miniatury z cyklu „Jerzy Washington i jego czasy", oraz fragmenty cyklu „Pakt Ligi Narodów mają międzynarodowe znaczenie.

Poza temi dziełami widzimy na wystawie szereg ilustracji do różnych powieści.

ZACHĘTA

Wystawa Zbiorowa Prac H. H. Teodorowicz - Karpowskiej. Wystawa Prac Sekcji Morskiej Polskiego Tow. Artystycznego. Wystawa prac artystów Lwowskich. Wystawa Ogólna w Zachęcie.

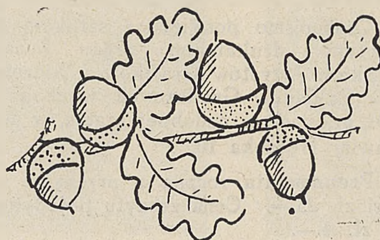
Z wystaw w Zachęcie wybija się na pierwszy plan zbiorowa wystawa prac Heleny Teodorowicz-Karpowskiej. Artystka wystawiła szereg portretów, wśród nich przepiękny i pełen wyrazu Portret J. E. Nuncjusza Ap. Mrgr. Marmaggi, liczne studja portretowe i krajobrazowe wykonane rozmaitemi technikami, olejno, akwarelą i sangwiną. Przy wysokim poziomie artystycznym znać dążność do syntezy.

Z pośród prac Sekcji Morskiej Polskiego Towarzystwa Artystycznego wybijają się Ciechomskiego „O. R. P. Ryś", Lindemana „Zatoka Pucka", oraz prace Nałęcza i laureatki tegorocznej nagrody artystycznej Zofji Stankiewicz.

W grupie artystów krakowskich najbogaciej liczebnie wystąpił akwarelista Józef Pieniążek, którego prace, obok wartości artystycznej, mają też wielką wartość etnograficzną, jako wierne kopje strojów ludowych góralskich i wiejskich zabudowań. Inny charakter mają znacznie szerzej traktowane akwarele Ruzamskiego. Także etnograficzny charakter mają „Wieśniaczki Dalmatyńskie" Kratochwila - Widymskiej. Ciepłym złocistym kolorytem odznaczają się „Martwe natury" Marji Opolskiej.

Z licznych dzieł pomieszczonych na wystawie ogólnej wyróżniają się oprócz reprezentacyjnego portretu Norblina i z wytworną elegancją malowanych portretów Wojciecha Kossaka, bardzo dobre wnętrza z Zamku i Łazienek Iwanowskiego, ciekawe w kolorycie wnętrza Żukowskiego, doskonałe akwarele Kopczyńskiego, którego zajmują zabytki architektury starych zamków, świetne portrety akwarelowe Nehringa i w bardzo szerokiej skali techniki traktowane akwarele Stanisława Śliwińskiego, oprate na tematach polskich i włoskich, wreszcie ciekawe mocno syntetyczne projekty pomników, figur i nagrobków Bojarskiego.

Wanda Pogonowska



WŚRÓD KSIĄŻEK

Tadeusz Dołęga Mostowicz. — Prokurator Alicja Horn.

Treść tej powieści jest następująca: Młody awanturnik, który musiał ukrywać się i zmieniać nazwisko, aby uniknąć kary za zgwałcenie, spotyka się ze swą ofiarą. Jak należało oczekiwać, między temi dwojgiem rozpłomienia się miłość i, jak nie należało oczekiwać — według recepty happyand'u — wygasa. Nie koncepcja powieści jest więc w niej atutem najwyższej atrakcji, jakkolwiek i tu w tyglu autorskim kipi soczysty trunek, chwilami nawet nie zabezpieczony klapą moralności (o rety!). Interesuje natomiast sposób rozczyniania, wałkowania i pieczenia tego pulchnego ciasta — żywy, barwny, niemal brawurowy — nawet tam, gdzie życie pobudza do refleksji; prawdziwy i szczery — nawet tam, gdzie autor karkołomnie fantazjuje. Należy bowiem pamiętać o tem, że nie tępa, wyjałowiona z artystycznych pierwiastków prawda jest najwyższem atutem pracy lierackiej, nie niewolnicze, amatorskie fotografowanie rzeczywistości, ale umiejętne spojrzenie na tę rzeczywistość — raz z lotu ptaka, to znów z psiej perspektywy, en face, z profilu i od... tyłu, a nawet od... wnętrza. Tę zdolność ustawiania się z aparatem swej spostrzegawczości Mostowicz posiada w znacznej mierze i dlatego powieści jego, a zwłaszcza niniejsza budzą nie w jednym czytelniku takie skłonności, jakich w sobie nie podejrzewał — chęć czytania wogóle. Budzą w nim te cechy, których nie ujawniło w nim dotychczas życie — miłość dla szczerości tego życia, miłość granicą) niemal z anarchizmem, skierowanym w zwisający kałdun nasytu, w mózgową opuchlinę

egoistycznych zastrzeżeń. Można byłoby też powieść tę porównać z eliksirem młodości, gdyby taki istniał.

I wszystko byłoby takie proste, takie naturalne i szczere, gdyby... można było tak dowolnie układać życie, jak powieść. Należy się wszakże już wdzięczność autorowi: za to, że umie obserwować to życie z humorem i bez zastrzeżeń.

m. j.

Krótki przewodnik po Huculszczyźnie — zestawił Komitet redakcyjny Warszawa 1933 r. Główna Księgarnia Wojskowa, cena zł. 3.50.

Zadaniem przewodnika jest spopularyzowanie tak pięknej, a zbyt mało jeszcze zwiedzonej połaci Karpat i zachęcenie turystów, narciarzy, letników oraz miłośników pięknej przyrody i folkloru do zwiedzenia tego zewszechmiar godnego poznania zakątka Rzeczypospolitej. Podręcznik dzieli się na część ogólną i część szczegółową. Część ogólna obejmuje podział terenu, opis przyrody, klimat, lud i jego kulturę, wspomnienie o walkach legjonowych (1914 — 1915 opis linij komunikacyjnych z podaniem wa runków podróżowania, wskazówki tury styczne ,literaturę i mapy, wreszcie omawia spławy, turystykę rzeczną oraz myślistwo i wędkarstwo. Część szczegółowa zawiera opis 130 szlaków wycieczkowych, zestawiony w ten sposób, że na podstawie ogólnej charakterystyki, każdy turysta z łatwością powinien znaleźć przy pomocy mapy właściwą drogę; dla mniej wprawnych pozostaje wielka ilość szlaków znaczonych (uwidacznia je załączona mapa w kilku kolorach), których odnalezienie nie przedstawia żadnych trudności. Część tę uzupełnia alfabetyczny wykaz miejscowości, schronisk oraz szczytów i przełęczy.

Książkę zdobią 23 nader udatne zdjęcia fotograficzne.

POESEE, ROCZN. II, Z. 1

W Czechosłowacji wychodzi kwartalnik pod redakcją znanego esseisty dr. Jana Strakasa. Niewątpliwie zainteresuje on wszystkich słowianofilów i z tej racji poświęcamy mu kilku uwag krytycznych. Zarówno szata zewnętrzna wydawnictwa, jak i treść sama jego zasługuje na szczególną uwagę. W pierwszym rzędzie wysuwają się na uwagę polonica, mianowicie „Marsz Żałobny" — K. Iłłakowiczówny oraz ballada beskidska E. Zegadłowicza w przekładzie czeskim. Z kolei idą dłuższe prace M de Unamuno, przekład z niemieckiego J. Jana piórą Willy Haas o Calderonie, dalej prace Z. Smid'a, H. Bremanda o poezji, w przykładzie z francuskiego Z. Vavrik'a, nadto rzeczy F. Lazeckiego, J. Zahradniceka, J. Sthrakosá o harmonji w baśni i t. d. Jest w czem wybierać i o czem mówić. Oprócz rozpraw mamy więc poezję, nowele, portrety literackie lub życiorysy, — a wszystko to jest wycelowane zarówno w formie, jak i w treści ujęcia, artystycznie skończone. Całości dopełnia przegląd treści wydawnictwa w języku francuskim, jako znakomity informator dla zagranicy, ponieważ „Poezje", służą przedewszystkiem zapoznaniu twórczości literackiej czeskiej zagranicą, i z tych także względów, spełniają ważne zadanie propagandowe.

Stefan Górzyński.

KSIĄŻKI

Pszczelarstwo i racjonalność tegoż w nowem oświetleniu prawdy. O. Czyńka, 320 str. większego formatu z planem budowy ula. Cena 2 zł. 50 gr.

Warszawskie Wojewódzkie Towarzystwo Pszczelarzy wydaniem tej książki wzbogaciło polską literaturę pszczelniczą o niezmiernie cenną pracę, która niewątpliwie dokona przewrotu w dotychczasowej gospodarce pasiecznej. Nieżyjący już autor kilkadziesiąt lat swego życia poświęcił na obmyślenie i wypróbowanie ula i systemu gospodarki, gdzie można pszczoły doprowadzać do olbrzymiej siły bez obawy rójki i mieć zbiory miodu kilkakrotnie większe niż dotychczas. Zimowanie pszczół jest idealnie dobre.

Każdy posiadacz pasieki powinien nabyć tak cenne dziełko, tembardziej, że niezwykle niska cena, pokrywająca zaledwie koszty wydawnictwa, umożliwia najuboższym zaznajomienie się z tem rewelacyjnem wydawnictwem.

M. Karczewska „Ogródek warzywny na własne potrzeby". Str. 48. Warszawa 1933. T-wo Oświaty Rolniczej. Księgarnia Rolnicza. Cena 90 groszy.

Wobec braku przystępnie napisanej, krótkiej i taniej książeczki o uprawie warzyw i to nietyle na sprzedaż, ile przedewszystkiem na potrzeby rodziny, złożonej z kilku osób, T-wo Oświaty Rolniczej wydało taką broszurkę, napisaną przez znaną autorkę p. M. Karczewską.

Książeczka opisuje: 1) założenie i prowadzenie ogródka warzywnego (wybór miejsca, plan, rozmiar, dobór roślin, zmianowanie, narzędzia, uprawa ziemi, nawożenia, siew i rozsadzanie, inspekty), 2) zbiór i przechowanie warzyw, 3) uprawę szczegółową poszczególnych warzyw, 4) tablicę wysiewu i zbioru poszczególnych warzyw, podającą czas zachowania siły kiełkowania, ilość nasienia potrzebną na 1 m. kwadr., odległość rzędów, odległość nasion w rzędach, porę zasiewu, czas wysadzania rozsad, czas zbioru i przeciętny dobry plon z 1 m. kwadr.

Z pomocą tej książeczki posiadacz małego nawet kawałka gruntu i zupełnie nawet nieobeznany z techniką warzywnictwa da sobie zupełnie dobrze radę i potrafi zebrać plon warzyw w ilości dostatecznej dla zaopatrzenia rodziny przez cały rok.

Omawiana książeczka przeznaczona jest tak dla drobnych rolników, jak i dla posiadaczy małych działek gruntowych w miastach, na letniskach i t. p. Cena bez przesyłki — groszy 90. Nabyć ją można w Księgarni Rolniczej w Warszawie (Mazowiecka 10) i w innych księgarniach.

GRAFIKA

Czasopismo poświęcone sztukom graficznym i drukarskim, organ Związku Polskich Artystów Grafików i Kierowników Zakładów Graficznych, wychodzi co dwa miesiące w ozdobnej szacie, w Warszawie, Trębacka 10.

Prenumerata roczna z przesyłką wynosi zł. 25.—. Cena zeszytu pojedyńczego zł. 4.—.



Przegląd ważniejszych wydarzeń

W STOLICY I W KRAJU

Przybite kryzysem społeczeństwo polskie bardzo słabo reaguje na przejawy życia politycznego, to też rzeczy ważne, doniosłe przechodzą obecnie bez echa.

W dniu 8 maja Zgromadzenie Narodowe wybrało p. prof. Ignacego Mościckiego po raz wtóry Prezydentem Rzeczypospolitej. W Zgromadzeniu Narodowem nie wzięli udziału posłowie należący do stronnictw opozycyjnych. Wobec tego wysunięto tylko jedną kandydaturę prof. Ignacego Mościckiego. Posłowie komunistyczni usiłowali zgłosić swego kandydata, lecz wobec braku wymagających 50 podpisów, zgłoszenie kandydata nie zostało przyjęte. Prof. Ignacy Mościcki przyjął wybór i złożył na zamku królewskim w Warszawie przysięgę przed Zgromadzeniem Narodowem.

Po dokonanym wyborze Prezydenta Rzeczypospolitej, Rząd podał się do dymisji. Nowomianowany Rząd nie wiele różni się od dawnego. Premjerem i Ministrem Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego został mianowany p. Janusz Jędrzejewicz. Tekę Ministra Rolnictwa i Reform Rolnych objął p. Bronisaw Nakoniecznikow-Klukowski, dotychczasowy Podsekretarz Stanu w Prezydjum Rady Ministrów. Inni Ministrowie pozostali bez zmian.

Dzień 1 maja przeminął w stolicy i w kraju zupełnie spokojnie. W Warszawie była wprawdzie tradycyjna strzelanina, jednak kroniki notują tylko trzech niezbyt ciężko rannych.

Bardzo naprężone stosunki polsko-niemieckie doznały ostatnio pewnego odprężenia. Powodem tego była rozmowa, jaką przeprowadził poseł Rzeczypospolitej w Berlinie Minister pełnomocny Dr. Adolf Wysocki, z kanclerzem Rzeszy Hitlerem. Rozmowa, do której doszło z inicjatywy Dr. Wysockiego, trwała około 45 minut. Hitler podkreślił zdecydowany zamiar rządu niemieckiego utrzymywania swego nastawienia i postępowania jaknajściślej w ramach istniejących traktatów.

Pozatem kanclerz Rzeszy wyraził życzenie, aby oba kraje swe wspólne interesy rozpatrywały i traktowały bez namiętności.

Mistrz Paderewski odbył podróż z Ameryki do Europy na jednym statku z Herriotem. Herriot całe dnie spędzał na rozmowie z Paderewskim. Francuzi zgotowali Mistrzowi entuzjastyczne przyjęcie. Według oświadczeń dziennikarzy francuskich. którzy przybyli razem z Herriotem, Paderewski cieszy się w Ameryce ogromnym autorytetem i każde jego słowo brane jest na wagę złota.

Niemcy usiłowali zrobić z polskiego śpiewaka, Jana Kiepury — Włocha. Kiepura przeciw temu kategorycznie zaprotestował i oświadczył, że nie myślał nigdy o zmianie obywatelstwa polskiego i gotów jest nawet zrzegnować z wszelkich występów w Niemczech, gdyby kwestja jego obywatelstwa przy sporządzaniu kontraktu miała być poruszana.

Kapitan-pilot Skarżyński przeleciał nad Atlantykiem na lekkim aparacie sportowym polskiej konstrukcji. W Rio

NOWINY Z KRAJU

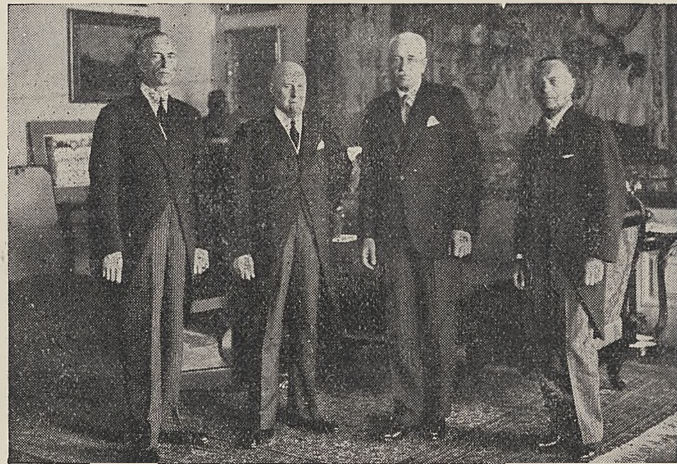


Nowy Rząd. Od lewej stoją: inż. E. Kamiński (poczta i telegraf), F. Zarzycki (przemysł i handel), dr. St. Hubicki (praca i op. społ.), J. Beck (sprawy zagr.), prof. M. Zawadzki (skarb), inż. M. Butkiewicz (komunikacja), Cz. Michałowski (sprawiedliwość), Br. Pieracki (spr. wewnętrz.), Br. Nakoniecznikow (rolnictwo), siedzą: Premjer — Janusz Jędrzejewicz, p. Prezydent Rzplitej I. Mościcki i Marszałek J. Piłsudski

Pan Prezydent prof. Ignacy Mościcki i premjer Prystor zwiedzili drogocenne pamiątki Jana Sobieskiego w królewskiej rezydencji w Wilanowie



Premjer Prystor, oraz marszałkowie: Sejmu — Świtalski i Senatu — Raczkiewicz u Pana Prezydenta na Zamku po Zgromadzeniu Narodowem (na prawo)





Fot. W. Pikiel

Przedstawiciel armji niemieckiej, gen. Schindler, zameldował się 7.V u Marszałka Piłsudskiego w Belwederze





Rewja w dniu 3 maja na placu J. Piłsudskiego w Warszawie

Defilada P. W. na motocyklach — *D-ca O. K. I gen. Januszkiewicz przed frontem oddziałów*

de Janeiro polskiego lotnika witano nadzwyczaj entuzjastycznie, a prasa nie miała dość słów uznania i zachwytu.

P. minister komunikacji przyznał zwycięskiemu pilotowi kpt. Skarżyńskiemu nagrodę w wysokości złotych 5.000 oraz złotych 6.000 konstruktorom zwycięskiego samolotu R.W.D. 5, inż. Wędrychowskiemu, Rogalskiemu i Drzewieckiemu.

P. minister komunikacji wysłał następującą depeszę:

„Poselstwo polskie w Rio de Janeiro, kapitan Skarżyński. Przesyłam p. kapitanowi, serdeczne gratulacje z powodu jego wspaniałego przelotu, który rozsławił imię Polski i polskiego sportu lotniczego na obydwu półkulach".

(—) Butkiewicz, minister komunikacji".

Odpowiedź brzmiała:

Minister komunikacji, Warszawa. — Dziękuję za życzenia, które otrzymałem w chwili lądowania.

Skarżyński."

Do Warszawy przybyła sowiecka misja handlowa, aby nawiązać z Polską stosunki handlowe. Pozostaje to w związku z zerwaniem stosunków handlowych Anglji z Sowietami. Istnieje przypuszczenie, że Sowiety pragną stworzyć sobie w Polsce źródło zakupów, zamiast w Anglji.

NIEMCY

Rewolucja narodowo-socjalistyczna w Niemczech „rozwija się". Nie wszystkie wiadomości oczywiście do nas docierają, bo o wielu zjawiskach prasa niemiecka nie chce, lub nie może pisać. W dniu 1 maja całe Niemcy święciły święto pracy narodowej. W uroczystościach wziął udział kanclerz Hitler, który wygłosił 80-minutowe przemówienie oraz cały rząd Rzeszy. Hitler postawił sobie za zadanie odrodzić Niemcy i wskrzesić „ducha niemieckiego". Prześladowanie żydów, jakiego nie zna historja czasów nowszych, trwa nadal. Żydów ruguje się zewsząd, gdzie dotychczas pracowali.

W Berlinie na placu opanowanym spalono około 20.000 książek, których autorami byli żydzi. Dziką tę uroczystość poprzedziło przemówienie ministra propagandy Goebbelsa. Zaiste, dziwny zbieg okoliczności! Widowiskiem tem Niemcy pokazały światu, że mimo cuda techniki, w której niepoślednie miejsce zajmują, duchem tkwią jeszcze w średniowieczu. Zaznaczyć należy, że na stos trafili nie tylko autorowi żydzi, ale również Niemcy czystej wody, ale (o hańbo!)... pacyfiści. Spalenie na stosie dzieł pacyfistów jest bardzo wymowne!

Nic też dziwnego, że nawet Anglikom otworzyły się oczy. Na radzie liberałów lord Grey, który nie przestał być jednym z najwybitniejszych mężów stanu Anglji, przyłączył się do antyniemieckich poglądów Chamberlaina, wygłoszonych w izbie gmin.

Sytuację Niemiec pogorszyła ich nieustępliwość na konferencji rozbrojeniowej w Genewie.

Niemcy są coraz więcej odosobnione. Prasa wiedeńska omawiając sytuację Niemiec, tak oto ją maluje: W Londynie dano wysłannikowi Hitlera Rosenbergowi do zrozumienia, że dalszy jego pobyt w stolicy Anglji jest niepożądany. Schacht, który, jakby dla ironji musiał w Waszyngtonie ciągle konferować z finansistami żydowskimi, wróci z Ameryki bez żadnych wyników. Francja urzędowa na razie milczy, ale jest to milczenie złowróżbne. Oliwy do ognia dolewa prasa niemiecka, której ton prowokacyjny przechodzi wszelką miarę. Anglja w mowie swego ministra wojny dała sąsiadom Niemiec — Francji i Polsce — do zrozumienia, że mogą się uchwycić środków samoobrony, jeżeli czują, że są zagrożone niemieckim kursem narodowym. Anglja przemawiała także w imieniu Ameryki, która Niemcom nigdy nie przebaczy, że postawą na konferencji rozbrojenia unicestwiły konferencję londyńską. Od Włoch mogą Niemcy oczekiwać conajwyżej „listu miłosnego", który jednak do niczego nie obowiązuje.

Trudna sytuacja na zachodzie skłania Hitlera do zmiany kursu polityki na wschodzie. Temu przypisać należy urzędowe uspokojenie Polski, jak również okoliczność, że Hitler, który przed dojściem do władzy, stawiał sobie za cel walkę z komunizmem, pragnie dziś z Sowietami zawrzeć układ, będący powtórzeniem układu berlińskiego.

Wskutek oświadczenia rządu niemieckiego, że Niemcy należnych kuponów od pożyczki Junga nie wypłacą, według parytetu złota, lecz w dolarach po bieżącym kursie, spowodowało gwałtowny spadek papierów niemieckich na giełdzie londyńskiej. Według opinji sfer finansowych Londynu jest to początek nowej katastrofy walutowej Niemiec, po której prawdopodobnie nastąpi spadek marki i bankructwo.

Robotnicy portowi w Antwerpji odmawiają wyładowywania okrętów płynących pod flagą niemiecką. Kilka niemieckich okrętów musiało z tego powodu opuścić port nie wyładowanych.

Austrja prowadzi zawziętą walkę z hitleryzmem. Hitlerowcy, po nieudanym puczu na granicy bawarskiej, który wbrew oficjalnym zaprzeczeniom rządu bawarskiego miał na celu wywołanie ruchawki, pragnęli wyzyskać wizytę ministrów niemieckich w Wiedniu dla urządzenia demonstracji. Imprezę tę zainaugorowali brutalnym napadem na instytut anatomiczny. To spowodowało rząd Dollfusa do zaostrzenia kursu przeciw austrjackim hitlerowcom i ich niemieckim poplecznikom. Tem tłomaczą się nader ostre artykuły organu rządowego „Reichspost" przeciwko wizycie „nieproszonych gości" niemieckich.



Fot. W. Pikiel

Nasz „afrykańczyk" — kpt. pil. Skarżyński

Ponieważ minister bawarski, powoływał się na rzekome zaproszenie gości niemieckich przez austrjackiego ministra sprawiedliwości, ogłosi Dollfuss dziś w urzędowej „Korespondencji politycznej" oświadczenie, stwierdzające, że ministrowie, którzy przybywają rzekomo w celach naukowych do Wiednia, nie byli wcale zaproszeni przez ministra sprawiedliwości, czyli że przyjazd ich ma charakter prywatny i że wobec tego traktowani jako obcy przybysze i będą musieli zachowywać się w Austrji tak, by policja nie miała powodu występować przeciwko nim. Większy chyba afront nie mógł spotkać ministrów niemieckich.

Między Austrją a Stolicą Apostolską został zawarty konkordat. Jest on już parafowany, a w najbliższym czasie zostanie oficjalnie przyjęty. Do zawarcia konkordatu przyczynił się w dużej mierze kanclerz Dollfuss, który powołał w tym celu specjalną komisję i sam stanął na jej czele.

Ameryka. Kurs dolara uległ poważnemu spadkowi. Stało się to akurat wówczas, gdy delegaci europejscy Mac Donald i Herriot byli w drodze do Ameryki. Zamierzenia Roosevelta odroczenia płatności długów wojennych i ich zmniejszenia natrafiają na opór kongresu, który może je unicestwić. Herriot powrócił z Ameryki z niczem; otrzymał on jedynie obietnice natury moralnej, dotyczące bezpieczeństwa. Sytuacja na miesiąc przed otwarciem światowej konferencji gospodarczej jest bardzo niewyraźna i nadzieje na pokonanie kryzysu są nader słabe.

Mac Donald, jak zwykle, był orędownikiem zmiany granic, nazwał on nawet sprawę Pomorza kluczem pokoju europejskiego. U prezydenta Roosevelta posłuchu nie znalazł; Roosevell konferował przed tem w ciągu 2 dni z Ignacym Paderewskim. Następnie Mac Donald usiłował przekonać senatora Boraha o konieczności rewizji granic wschodnich, ale i ten rozczarował go twierdząc, że Polska zgodzi się raczej na wojnę, niż na rewizję granicy pomorskiej.

SOWIETY

Pod wpływem zewnętrznego niebezpieczeństwa hitleryzmu w łonie partji komunistycznej nastąpiła konsolidacja. Opozycja z Bucharinem, Rykowem i Tomskim na czele wyrzekła się działalności przeciwko większości partji, czemu dała wyraz w specjalnym liście, wystosowanym do Stalina.

W partji komunistycznej przeprowadzona jest czystka.

Z partji mają być usunięte wszelkie „obce klasowe elementy", komuniści prowadzący dwulicową politykę wobec dyrektyw partyjnych, nie przestrzegający dyscypliny, komuniści, którzy nie chcą walczyć z burżuazją, karjerowicze, oraz ludzie„ ulegający rozkładowi moralnemu w codziennem życiu". Do tej ostatniej kategorji należą ci, którzy oddają się pijaństwu, rozpuście, obcują z obcym klasowo elementem i uprawiają antysemityzm. Ponieważ komunistów razem z kandydatami do partji jest w Związku sowieckim tylko 3 miljony 500 tys., nie wszyscy, podlegający „czystce" będą z partji usunięci. Komuniści, niedostatecznie wykształceni politycznie i zdyscyplinowani, przeniesieni będą do kategorji kandydatów, a takie elementy wśród kandydatów przeniesione będą do nowoutworzonej kategorji „sympatyków".

Jedni i drudzy po rocznej próbie z dodatnim wynikiem mogą odzyskać dawne stanowisko w partji.

Komisarz do spraw zagranicznych Litwinow miał podobno poinformować ambasadora japońskiego w Moskwie o gotowości Swietów sprzedaży państwu mandżurskiemu kolei wschodnio - chińskiej. Sowiety żądają podobno 300 miljonów rubli w złocie, a Japonja ofiarowuje 80 miljonów jen.

RÓŻNE WIADOMOŚCI

Jak donosi „Neus Wiener Extrablatt", wiedeński arcybiskup kardynał Innitzer wystąpił z wnioskiem, by Watykan rozwinął w Lidze Narodów silniejszą niż dotychczas akcję, względnie, by wstąpił jako członek do Ligi. Po usunięciu się z Genewy Japonji Watykan mógłby objąć po niej miejsce, w radzie Ligi.

Ekspremjer litewski Waldemaras udzielił wywiadu przedstawicielowi Jaunakas Zines, w którym zaznaczył, że litewska polityka zagraniczna gubi się w sprzecznościach, ponieważ Litwa zajmuje stanowisko wyczekujące i to prowadzi Litwę do izolacji.

Zdaniem Waldemarasa Litwie nie jest potrzebny Związek bałtycki zwrócony przeciwko Rosji, lecz przeciwko Polsce.

Ghandi rozpoczął nową trzytygodniową godówkę na znak protestu przeciw prześladowaniu Parjasów i odmowy dania im przyrzeczonych praw. Po trzech dniach jednak głodówki był on już tak wyczerpany, że trzeba go było nosić na noszach. Lekarze uważają za niemożliwe, aby przetrzymał on 3 tygodnie głodówki.

Ofensywa japońska w wojnie japońsko - chińskiej trwa i jest skierowana na Tien-Tsin i na Pekin. *Esbe.*

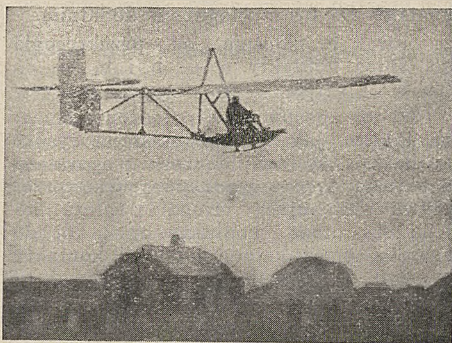
ZE ŚWIATA

MASOWE NISZCZENIE OKRĘTÓW

Statystyka światowa demontażu okrętów wykazała w ciągu 11 miesięcy ubiegłego roku zniszczenie 476 okrętów o pojemności ogółem 1.884.088 tonn rejestrowych. Z tej liczby w listopadzie na Stany Zjednoczone A. P. przypada 189 okrętów o 704.545 tonnach rejostrowych. Cyfry analogiczne za 1931 r. wyniosły 230 okręto.w o 852.625 tonnach rejestrowych.

Obecnie dwa największe hamburskie towarzystwa żeglugi oddały swe okręty do rozbiórki. Linja „Hamburg — Ameryka" oddała 6 okrętów o ogólnej pojemności około 35.000 tonn rejestrowych, a „Hamburg — Süd" 5 okrętów o ogólnej pojemności około 27.000 tonn rejestrowych.

Z TYGODNIA L. O. P. P.



Lot szybowca zbudowanego przez Koło Szybowcowe w Łucku



Pomnik Lotnika w Warszawie dłuta E. Wittiga

Niszczenie to stoi w związku przyczynowym z olbrzymim zastojem w ruchu przewozowym. W normalnych warunkach okręty te mogłyby spełniać swą służbę jeszcze w ciągu kilku lat.

NAJWYŻSZA GÓRA ŚWIATA JEST NIEWIDOCZNA

Odkrycia tego dokonał prof. O. Baschin, który ogłosił je światu w swem sprawozdaniu ze świeżo ukończonych pomiarów hydrograficznych.

Owej najwyższej góry świata, pomimo jej olbrzymich rozmiarów i wysokości przewyższającej 10 km., oko ludzkie nie jest w stanie dojrzeć, albowiem grzbiet górski, którego jest jednym ze szczytów, leży w głębiach południowego Atlantyku.

Żmudne badania głębinowe, przeprowadzone przy pomocy najnowszych metod naukowych, wykazały, że od południowych wybrzeży amerykańskich ciągnie się na przestrzeni przeszło 4.500 km. łukiem, wygiętym ku wschodowi, olbrzymi łańcuch górskich, czterokrotnie dłuższy od Alp, którego najwynioślejszy szczyt przewyższa Gauryzankar Himalajów.

Ten podwodny łańcuch górski wstrzymuje dopływ zimnej wody z okolic bieguna południowego, co wpływa znacznie na gorąco klimatu Ameryki Południowej.

JAK SIĘ ODZWYCZAIĆ OD PALENIA W 48 GODZIN

Dr. Henryk Robiczek w jednem z niemieckich czasopism naukowych podaje w formie artykułu rady jak się odzwyczaić od palenia w ciągu 48 godzin, dzięki odpowiednim ćwiczeniom oddechowym.

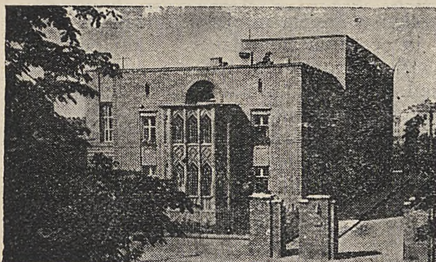
Metoda dr. Robiczka polega na stosowaniu następujących czterech ćwiczeń: pierwsze — oddychać szybko i głęboko, napełniając płuca, jak największą ilością powietrza; drugie — zatrzymać ten zapas powietrza w płucach przez cztery sekundy; trzecie — zapomocą wydechu wyprowadzić to powietrze energicznie z płuc; czwarte — zastosować ponownie długą przerwę oddechową.

Następnie rozpocząć na nowo: szybko i głęboko wprowadzić powietrze, zatrzymać je w płucach, całkowity wydech i dłuższa przerwa przed wdechem.

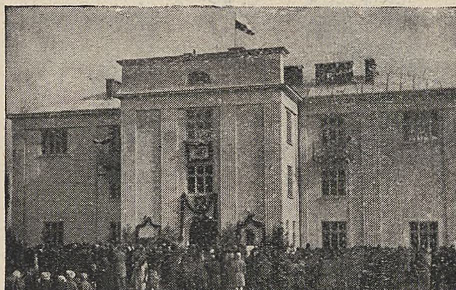
Ćwiczenia te należy powtórzyć raz po raz pięć razy, a chęć palenia nagle przestanie istnieć.

Dr. Robiczek wyjaśnia swą metodę w następujący sposób. Już kilka pociągnięć dymu zmienia normalne oddychanie w charakterystyczny sposób tak, że palacz żyje jakby w stnaie ustawicznego łagodnego procesu duszenia się. To właśnie wytwarza ów specjalny, znany palaczom nastrój, który starają się podsycić nowym papierosem.

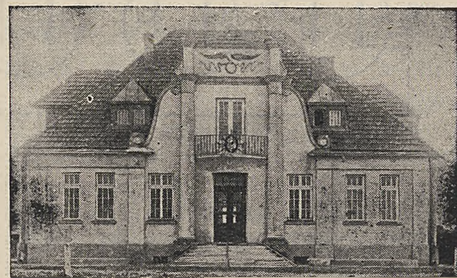
Metoda dr. Robiczka ma skutecznie leczyć niewolników palenia z tego nałogu.



Instytut Aerodynamiczny w Warszawie



Poświęcenie budynku Szkoły Mechaników Lotniczych L. O. P. P. we Lwowie



Dom administracyjny Portu lotniczego L. O. P. P. we Lwowie



BATERJE LECANCHA ZAMIAST AKUMULATORÓW RADJOWYCH

Zamieściliśmy w N-rze 10 Ech Leśnych w 1932 r. wzmiankę o tem, że akumulatory radjowe można zastępować baterjami Leclancha. W sprawie tej napływają do skrzynki pocztowej Ech Leśnych liczne zapytania.

Aby zaspokoić żądania naszych czytelników podajemy garść potrzebnych informacji.

Ogniw Leclancha potrzeba 6 dla zmontowania 2 baterji. Ogniw tych nie należy samemu robić, lecz kupić gotowe w składzie sprzętu elektrycznego. Baterje wykonać sam mógłby tylko ten radjoamator, który w wiadomościach o elektryczności jest już zaawansowany, a taki naszych wskazówek nie potrzebuje. Ogniwa takie nowe, kosztują w Warszawie ???? za sztukę. Są to te same ogniwa, których używa się do dzwonków elektrycznych lub do telefonów. Ogniwa należy łączyć po trzy szeregowo, t. j. biegun ujemny z biegunem dodatnim. Ponieważ istota rzeczy polega na tem, aby móc włączać do aparatu radjowego — do żarzenia — bądź jedną, bądź drugą baterję, należy w tym celu użyc przełącznika dwubiegunowego. Taki przełącznik również najlepiej nabyć w firmie radjowej, kosztuje on w Warszawie 3 — 4 zł.

Szemat połączeń:

Połączenia uwidocznione są kreskami przerywanemi. Biegun ujemny baterji A_1 łączy się z kontaktem a) przełącznika, biegun dodatni zaś z kontaktem c_1); biegun ujemny baterji A_2 łączy się i kontaktem c) przełącznika, biegun zaś dodatni z kontaktem a_1). Kontakt przełącznika b) łączy się + z biegunem ujemnym zarzenia w aparacie radjowym, kontakt zaś b_1) z biegunem dodatnim.

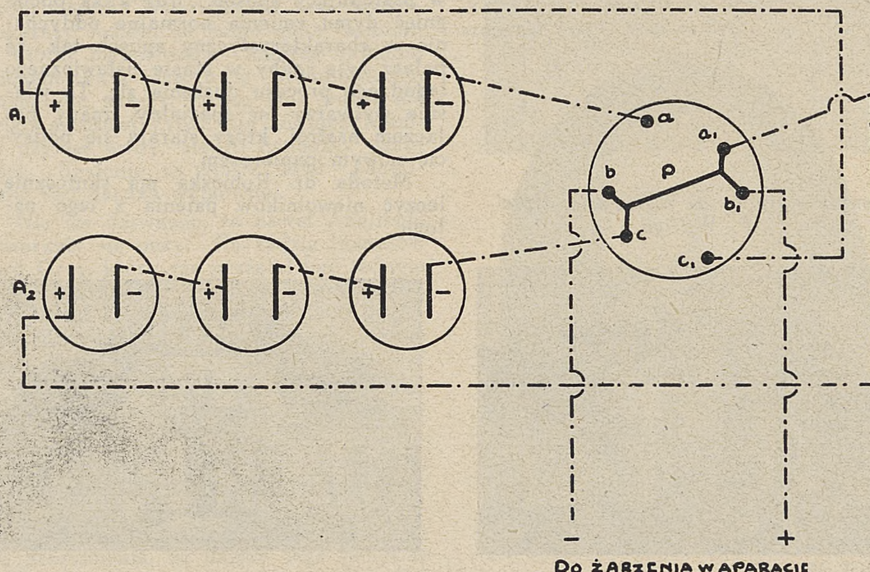
Suwak P, zależnie od przekręcenia go, spina kontakty a — b i b_1 — c_1, lub b — c i a_1 — b_1.

W ten sposób przy połączeniu suwaka takiem, jak uwidocznione na rysunku baterja A_2 jest połączona z aparatem, a baterja A_1 — wypoczywa. Prąd przepływa następującą drogą: z plusa baterji A_2, przez kontakty a_1 — b_1 do aparatu, przez katodę lampy i kontakty b — c do baterji A_2. Jeżeli suwak P obrócimy, wyłączymy baterje A_2, włączymy natomiast baterję A_1. Prąd popłynie: Plus baterji A_1, kontakty — c_1 — b_1 katoda lampy kontakty b — a,, minus baterji.

Połączenia można wykonać jakimkolwiek drutem miedzianym, tak jednak, aby się połączenia nie stykały. Odprowadzenie od przełącznika (od kontaktów b i b_1) do aparatu najlepiej wykonać kabelkiem radjowym.

Najpraktyczniej będzie baterje zmontować w skrzynce drewnianej, a w jedną ze ścianek skrzyneczki wmontować przełącznik. Połączenia winny być mocno zakręcone lub lutowane. Do lutowania nadaje się najlepiej pasta „tinol". Oczyszczone dokładnie do połysku, połamał moc płotów, płotków, poza któłączenia powleka się tinolem. Podgrzanie zapałką wystarcza, by się połączenia zlutowały.

S. B.



Szemat bateryj Leclancha

KĄCIK FOTOGRAFICZNY

Otwierając kącik fotograficzny, który uzyskał gościnę na szpaltach „Ech Leśnych", muszę na wstępie oświadczyć, że nie będzie to podręcznik fotografji.

Fotografja nie jest bynajmniej rzeczą łatwą, bez posiadania podstawowych wiadomości fotografować nie można. Laików przeto odsyłamy do podręczników, których na rynku jest bez liku. Kącik fotograficzny będzie raczej uzupełnieniem wiadomości zaczerpniętych z podręczników i nabytych praktyką.

Piszący te słowa zna ludzi „fotografujących", którzy na zapytanie: jakie „światło" ma ich objektyw, jaką „ogniskową" lub jakiej „czułości klisz używają, robią zdziwiony wyraz twarzy i naiwnie zapewniają, że oni tylko „tak trochę", znają się na fotografji. Jeżeli otwarcie aparatu, wycelowanie i naciśnięcie wężyka można uważać za „znajomość fotografji", to owi amatorowie istotnie znają się na fotografji „tak trochę".

Dobry podręcznik jset rzeczą nieodzowną! Od uważnego przestudjowania podręcznika należy rozpoczynać. Jeżeli się zważy, że podręcznik kosztuje tyle co tuzin klisz krajowych 9 x 12 cm., a chroni przed zepsuciem wielu takich tuzinów, łatwo będzie zdobyć się na ten wydatek. Z pośród powodzi podręczników, polecić mogę podręcznik fotografji Polskiego Towarzystwa Miłośników Fotografji, wydawnictwo M. Arcta w Warszawie — cena 5 zł.

Technika optyczna poczyniła tak duże postępy, że złych aparatów dziś właściwie już niema. Pomiędzy aparatami drogiemi, z doskonale poprawionmei anastygmatami, a aparacikami taniemi istnieje różnica, właściwie tylko ta, że aparatami drogiemi można fotografować w najgorszych warunkach, podczas gdy aparaty tanie zmuszają nas do czekania na piękną pogodę. Czy jednak amator - fotograf powinien fotografować w dnie pochmurne, bezsłoneczne? Oczywiście nie. Fotogram oddaje tylko światło, cienie, obraz szary, monotonny, pozbawiony jasnych smug słońca i głębokich cieni, czyni wrażenie niemiłe. Fotografować należy w pięknie słoneczne dnie i to w piękne słoneczne dnie i to w takiej porze dnia, gdy cienie są długie, a więc nie w same południe.

Niezmiernie ważną rzeczą jest dobór odpowiednich klisz. Niektórzy nauczyciele radzą używać na początek klisz zwykłych, później dopiero barwoczułych (ortho-chromatycznych), a filtr żółty, uważają za „wyższą szkołę jazdy". Taki pogląd jest z gruntu fałszywy. Należy od pierwszego dnia używać klisz ortho-chromatycznych i bezodblaskowych i od pierwszego dnia fotografować z żółtym filtrem. Da nam to tę korzyść, że gama tonów zostanie oddana prawidłowo i nasze zdjęcie krajobrazów nie będą miały szkaradnego, papierowego nieba.

Filtr jasny przedłuża dwukrotnie czas naświetlania, lepiej jednak fotografować ze statywu, niż chwalić się potem ćwiartkami papieru, pokrytemu czarnemi i białemi plamami z oślepiająco białem niebem.

Dlaczego klisze tylko bezodblaskowe (anti hallo)?

Klisza bezodblaskowa tem tylko różni się od zwykłej ortho-chromatycznej, że ma bądź dodatkową warstwę zabarwioną na czerwono, bądź też na odwrotnej stronie jest pociągnięta czerwonym lakierem. Ten czerwony podlew ma za zadanie nie dopuścić do odbicia się promieni od tylnej warstwy kliszy i naświetlenia amulsji przez powracający, załamany promień w innem miejscu, aniżeli zaświetlił ją promień wchodzący. Taki odblask powoduje aureolę dookoła świecących przedmiotów, nieprzejrzystość fotografowanych wierzchołków drzew i t. p. Nie zawsze wprawdzie potrzeba do danego zdjęcia kliszy bezodblaskowej, ponieważ jednak nigdy nie wiadomo kiedy będzie potrzebna, a bezodblaskowość nie może w żadnym razie zaszkodzić, radzimy tylko takie klisze mieć w kasetach. Błony są z natury rzeczy zawsze bezodblaskowe.

Fabryki wyrabiają klisze o najrozmaitszej czułości. Za normalną uważa-

na jest czułość 16 do 18 stopni Scheinera. Czułość wyrabianych obecnie klisz dochodzi do 27° Scheinera. Dzięki tak olbrzymiej czułości klisz objektywy ciemne f = 1 : 11 i ciemniejsze pozwalają na zdjęcie migowe, nie należy jednak bez istotnej potrzeby używać klisz czulszych niż 19 — 21° Scheinera. Określenie czasu naświetlania jest dość trudne. Klisze o czułości 16 — 18° lub 19 — 21° pozwalają na kilkakrotnie dłuższe naświetlenie niż normalne. Negatyw będzie gęsty, trzeba go będzie dłużej kopjować lub osłabić, odbitka jednak będzie dobra. Natomiast im czulsza klisza, tem precyzyjniejsze musi być naświetlenie, skala bowiem dopuszczalnego odchylania jest mniejsza. Kto zatem nie posiada światłomierza lub rzeczywiście niezawodnej, zdobytej praktyką zdolności określania czasu naświetlania, ten nie powinien posługiwać się kliszami zbyt czułemi.

Obliczając czas naświetlania kliszy należy brać pod uwagę najciemniejsze części motywu, i wybrać czas naświetlenia dostateczny dla utrwalenia ich. Negatyw nie powinien mieć nawet w najgłębszych cieniach szklistej przezroczystości, lecz cienie powinny być pokryte warstewką srebra metalicznego. Światła będą oczywiście zbyt gęste, ale to nic nie szkodzi; osłabienie w nadsiarczanie amonowym da negatyw bardzo harmonijny

Fotografowie - amatorzy zazwyczaj uznają i stosują tylko dwa zabiegi z kliszami: wywołanie i utrwalenie. Podręczniki wspominają wprawdzie o osłabieniu i przeznaczeniu negatywów, ale zapominają dodać, że zabiegi te nie są żadną czarną magją, ale czynnościami w 55% nieodzownemi, podobnie jak wywoływanie.

Nieocenione działanie osłabiaczy omówimy oddzielnie. Obecnie wspomnieć wypada o wywoływaniu. Przed wywoływaniem wskazane jest znieczulenie klisz w zieleni pinakryptolowej. Zieleń taka znajduje się w handlu w pastylkach po 10 sztuk i kosztuj 3.50 zł. Jedna pastylka, rozpuszczona w ¼ litra wody wystarcza do znieczulenia 5 tuzinów klisz formatu 9 x 12. Roztwór jest trwały, należy go jednak przechowywać w dobrze zakorkowanej butelce z ciemnego szkła. Kliszę kąpie się w zieleni przez 2 minuty, płucze krótko w wodzie i przenosi do wywoływacza. Znieczulenie klisz zapobiega zadymianiu klisz, które powstaje dość często, jeżeli światło ciemni jest zbyt jasne, lub klisze stare, albo gdy klisze zbyt często wyjmujemy z wywoływacza i oglądamy pod światło. Kto spróbuje znieczulania klisz, ten już tego nie zarzuci. Znieczulenie jest zawsze bardzo pożyteczne, a nieodzowne jest ono, jeżeli wywołujemy klisze bardzo czułe. Te klisze zadymiają bardzo często przy wywoływaniu, ponieważ nawet ciemno - rubinowe oświetlanie ciemnicy jest dla nich zbyt jasne. Po znieczuleniu można klisze normalne wywoływać przy świetle żółtem a bardzo czułe przy świetle jasno czerwonem.

S. Błon.

CZY MOWA RZYMU STANIE SIĘ JĘZYKIEM ŚWIATA?

Ta stara brama, nad którą rozpiął skrzydła orzeł w otoku z gwiazd — herb uniwersytetu warszawskiego, jest jakby granicą dwóch światów.

Z jednej strony Krakowskie Przedmieście — tętniąca życiem i gwarem arterja wielkiej stolicy. Z drugiej cisza i spokój nauki. Tam mkną rozklaksonowane samochody, toczą się w zgrzycie kół ciężkie, czerwone wozy tramwajowe. Tam w dwóch kierunkach przewalają się tłumy przechodniów. Tutaj w rozległych, widnych salach w tłum młodzieży padają brzemienne wiedzą słowa wykładów, tu w ciszy swych laboratorjów pracują uczeni i tu, w ciasnych, zastawionych tysiącami grubych ksiąg mieszkaniach, pędzą żywot w sercu miljonowego miasta napoły pustelniczy.

Dźwięk dzwonka elektrycznego brzmi tu dziwnie obco. Jak brutalne wtargnięcie współczesności. Uchylmy czoła. Profesor Tadeusz Zieliński, znakomity uczony, znawca tajników świata antycznego, otwiera drzwi osobiście.

Grzywa siwych włosów i broda. Gdzież to widziało się podobne rysy twarzy? Czy u Jowisza kapitolińskiego? Nie! zbyt dobre, zbyt łagodne są te oczy. Takie spojrzenie mógł mieć tylko twórca sympozjonu, prawnuk ostatniego króla Aten, filozof i arystokrata, subtelny Plato.

— Pani w sprawie łaciny? — pada pytanie, okraszone pogodnym uśmiechem. — Tak, tak wiem. Szaleństwo, prawda? Garstka dziwaków próbuje wskrzesić język starożytnego Rzymu i, co więcej, nadać mu prawo mowy międzynarodowej.

— No, taki, zdaje się, cel postawiło sobie Towarzystwo Umiędzynarodowienia Łaciny, którego pan profesor...

— Jest jednym z założycieli — przerywa szybko mój uczony rozmówca, jakby pragnąc przeszkodzić uznaniu Go za głównego organizatora. — Societas Linguae latinae usui internationali adaptandae, nowe towarzystwo, którego zebranie konstytucyjne odbędzie się 13 marca, istotnie postawiło sobie za cel uznanie łaciny za język międzynarodowy. Cóż w tem dziwnego? Skoro dla ułatwienia obywatelom różnych państw świata stosunków wzajemnych stwarza się jakieś nowe języki, to czemu nie wskrzeszać poprostu mowy o tak wielkich tradycjach i możliwościach, jaką jest łacina?

— Jaką drogą będą panowie dążyli do tego celu?

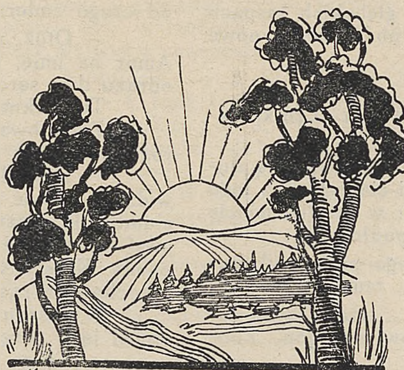
— Zwyczajnie. Podobną do tych, jaką obrały inne pokrewne nam organizacje zagranicą. Nie jesteśmy przecież osamotnieni. Takie same towarzystwa istnieją już w Niemczech, we Francji i w Italji, a niedawno powstało nowe w Budapeszcie. Ruch w kierunku ożywienia łaciny i przystosowania jej do nowych warunków jest dziś już silny, a jutro...

— Jutro może przynieść łacinie rezurekcję — pozwalam sobie podpowiedzieć. — Dobrze, panie profesorze, ale czy z tem przystosowaniem nie będzie zbyt trudno?

Profesor Zieliński wzrusza zlekka ramionami.

— Dlaczego? Przecież większość słów nowoczesnych, powszechnie używanych dla określenia dzisiejszych zdobyczy technicznych czy innych, powstała na podłożu łacińskiem. Nie. Trudności większych tu nie przewiduję. A proszę też nie zapominać, że łacina straciła swe prawa dawniejszego języka międzynarodowego, ustępując przeważnie francuskiemu, stosunkowo bardzo niedawno. Może sto lat temu. Nie, proszę pana — mówi z przekonaniem — idea wskrzeszenia łaciny, jako języka międzynarodowego to nie utopja. Jesteśmy przekonani, o słuszności naszych poczynań. Świadectwem tej pewności jest nasza dewiza „quod bonum felix faustum fortunatumque sit".

J. M. T.



TY MNIE NIE PYTAJ

Ty mnie nie pytaj o moją tęsknotę:
Są czasem głębie tak zawrotnych marzeń,
Że gdy im prawda skrzydła zwichnie złote,
Giną w odmęcie pospolitych zdarzeń.

Już ich nie wskrzesi nigdy z rumowiska
Żaden głos władczy cudotwórczych magów,
I nikt też więcej obserwując zbliska,
Nie pozna w gruzach resztek sarkofagów.

Łatwiej jest uczuć podtrzymując trwałość,
Śnić przed nagrobkiem dawne, jasne lata,
Niż spoić w jedną, niepodzielną całość
Popiół rozwiany w cztery strony świata.

NIE BÓJ SIĘ O MNIE

Nie bój się o mnie, choć zwątpienie boli,
Zostanę sobą, sobą w każdym calu,
Pójdziemy każde szukać własnej doli,
Nie kryjąc w sercu uraz, ani żalu.
Wszak wiem, że żaden cud się stać nie może,
Na prozę życia, nie znajdziemy rady,
Wiem też, że kiedyś, gdzieś o pewnej porze
Wiatr z ziemią zrówna twe ostatnie ślady.

Nie bój się o mnie, dawne sny dziwaczne
Nie pozostawią cienia na mej twarzy,
I mimo wszystko żyć na nowo zacznę,
I nowy ołtarz wzniosę wśród cmentarzy.
Nie padnę w walce, w której miłość znikła,
Mam duszę silną, złuda jej nie skusi,
Że mnie nie kochasz, rzecz to taka zwykła,
Każdy to wreszcie kiedyś przeżyć musi.

Nie bój się o mnie... Wszak to nic nie znaczy,
Że w mojem sercu rana zieje krwawa,
Ono wytrzyma, pójdzie wbrew rozpaczy
Po nowe szczęście i po nowe prawa.
Nie bój się o mnie, wiem, co cierń i głazy,
Nikomu kwiatem droga się nie ściele...
Więc odepchnijmy wspólny cień urazy,
Jak dwaj uczciwi, starzy przyjaciele.

NINA OKUSZKO-EFENBERGEROWA

HALINA KLUGE-ZIĘCIAKOWA

GDY AMOR POLUJE...

Leński zręcznym manewrem znalazł się na saneczkach Krzysi. Dziwnym zbiegiem okoliczności mieli wyznaczone sąsiednie stanowiska.

Krzysia namiętnie lubiła polowanie i miała sławę świetnej strzelczyni.

Nie wiedziała, co ją bardziej cieszy, czy obecność Leńskiego, za którym w skrytości serca szczerze tęskniła, czy czekająca ją emocja łowieckich wrażeń.

Puściła wodze koniom, więc rwały naprzód jak wicher, unosząc lekko sanki i rozbawioną, śmiejącą się parę.

W maleńkich saneczkach siedzieli blisko obok siebie. Leński czuł, jak od Krzysi promieniuje na niego ciepło. Czuł przez powłokę ubrania jej młode, jędrne ciało, czuł silne, sprężyste ramię, które bezwiednie ocierao się o niego.

Chciał porwać tę dziewczynę w ramiona, wpić się ustami w jej, rozchylone, kuszące usta.

Ale myśl, że panna Zdanowicka może potępi ten jego wybryk, hamowała go i gasiła żar krwi.

Krzysia nie przeczuwała, jakie zamiary żywi jej towarzysz; była w świetnym humorze, śmiała się, opowiadała mu barwnie swoje przeżycia warszawskie. On znów skarżył się na nudy i melancholję wsi.

Od terenu polowania dzieliły ich jeszcze dwa kilometry, choć przestrzeń malała w oczach, bo sanki mknęły, jak strzała po wyślizganym śniegu.

Pojedziemy na łów, na łów,
Towarzyszu mój!

czystym, jak srebrny dzwoneczek, głosem zaintonowała Krzysia. Zawtórował jej matowy głos Leńskiego, i przez zwarty w śnieżnej pościeli pogrążony bór popłynęła pieśń pełna słońca i radości życia.

Na łów, na łów, na łowy
Do zielonej dąbrowy
Towarzyszu mój!

Bór zasłuchał się, oniemiał. Uciszył się wiatr, znieruchomiał baldachim sosen, a tylko hen, ze szczytów wysmukłych świerków, z obciążonych śniegiem gałęzi, jak rój białych motyli, sypały się na głowy jadących śnieżne pyłki.

Zajęto wyznaczone stanowiska.

Z głębi lasu dochodziło suche trajkotanie kołatek, krzyki naganki, głosy trąbek.

Padły pierwsze strzały. Zatrząsł się bór od grozy. Zdawało się, że poprzez dęby i chojary leci niszczący orkan, niosąc zagładę mieszkańcom lasu.

Przyczaiła się przerażona zwierzyna, a potem gnana instynktem zachowawczym, w obłędnym strachu biegła na oślep w sidła śmiertelnej zasadzki.

Na białym obrusie śniegów paliły się barwą rubinów ślady świeżej krwi.

Niekiedy na huk wystrzału odpowładało przeraźliwe skomlenie lisa, krzyk zranionego zająca, lub beczenie, schwytanego w zdradziecką zasadzkę kozła.

Nieubłagana śmierć szła lasem i z uśmiechem triumfu patrzyła w oczy przerażonych stworzeń.

Pole obstrzału wyglądało, jak pobojowisko. Pierwszy miot dał nadspodziewane rezultaty. Polowanie zapowiadało się świetnie.

Rozentuzjazmowani myśliwi brnęli po głębokich zaspach śnieżnych, śpiesząc do sań, które miały ich podwieść na nowe stanowiska.

Krzysia była nad wyraz szczęśliwa.

W pierwszym miocie położyła trupem lisa. Leński zastrzelił dwa zające.

Czuła przewagę nad towarzyszem, i to napawało ją dumą. Lis przecie to nie to, co szarak. Leński cieszył się z tego jej triumfu; niestety, odwróciło się szczęście: w drugim miocie Leński zastrzelił kozła; panna Zdanowicka spudłowała.

Była zła i upokorzona, na domiar złego pułkownik nawinął się w drodze i, na utyskiwanie Krzysi, rzucił szyderczo:

— A co? nie mówiłem, mociudzieju!... trzeba było zamiast dubeltówki wziąć soli i posypać zającowi na ogon... Zdobycz byłaby pewniejsza!...

Pocieszała się, że powetuje straty w następnym miocie

Ale zdarzył się nieprzewidziany wypadek, który pannie Zdanowickiej nie pozwolił wziąć już tego dnia broni do ręki.

Gdy przeskakiwała przez skręt korzeni, potknęła się i upadła, chwytając ręką za ostry sęk wystający z pnia pobliskiej sosny. Nadto padając, zdarła sobie skórę z kolana.

Rozpacz Krzysi nie miała granic. Trzeba było zrezygnować z polowania. Panna Zdanowicka była niepocieszona. Idąc z Leńskim, po cichu łykała łzy.

Zatrzymali się w ukryciu świerków.

Krzysia usiadła opodal na pniu. Śliczna była w tej swojej bezradnej rozpaczy. Obecność panny Zdanowickiej działała na Leńskiego tak silnie, że ręka drżała mu przy strzale: dwa razy spudłował. Widział, że Krzysi sprawiło to przyjemność.

— Niech pan sobie wyobrazi moją wściekłość... czyż to nie tragiczne?... — skarżyła się rozżalona — przyjechać z Warszawy na polowanie, a teraz siedzieć tu bezczynnie i patrzyć, jak inni polują....

— Czy jadąc z Warszawy, miała pani na myśli tylko polowanie? — pytał Leński, patrząc jej w oczy.

— Rozumie się! — kłamała przekornie Krzysia.

Leński posmutniał. Pochylił się ku niej i mówił z bolesnym wyrzutem.

— Krzysiu, Pani nie wie, jak bardzo ją kocham!...

Krzysia słuchała, oparta plecami o pień sosny. Twarzyczka jej pobladła ze wzruszenia.

Leński spostrzegł i przyciągnął ją mocno ku sobie, zamknął w żelaznym uścisku ramion.

— Krzysiu!... Krzysiu!... — zdawało mu się, że w objęciach trzyma cały świat.

Świerk wtulił ich w swe rozłożyste gałęzie; śnieżne, brylantowe gwiazdki chłodziły ich rozpalone twarze; na niebie złotemi promieniami śmiało się do nich słońce.

Na prawo, gdzie grupa świerków tworzyła jakby namiot, ostrożnie rozchyliły się gałęzie i wyjrzały czyjeś ciekawe oczy.

Już słońce na opalach śniegu rozlewało purpurę wczesnego, zimowego zachodu, gdy trąbki gajowych zwiastowały koniec polowania.

Plony były obfite. Na wielkiej polanie złożono stos zabitych szaraków, lisów i kozłów.

Na prowizorycznych, z desek zbitych, stołach rozłożono zapasy żywności, które błyskawicznie znikały w czeluściach zgłodniałych żołądków.

Huknęły korki butelek, zadźwięczały szklanki; tryskał humor, dowcip i śmiech.

Pobitej zwierzynie myśliwi wyprawiali wesołą pogrzebową stypę.

Jedna Krzysia była cicha i zamyślona, zato Leński promieniał szczęściem. Pułkownik Łaszcz spoglądał na nich z pod oka, uśmiechał się szelmowsko, wreszcie wstał, chrząknął uroczyście i, ku zdumieniu obecnych, zaczął miodopłynną orację:

— Mociumdzieju!... wśród nas, zgromadzonych tu myśliwych, brak jeszcze jednego, który dziś poszczycić się może największym triumfem i najcenniejszą zdobyczą... Wprawdzie, mociumdzieju, ów myśliwy nie dźwigał dubeltówki i nie brnął, jak my po śniegu, bo mu matka, Wenera, dała skrzydełka gwoli lataniu, a kołczan i strzały gwoli ranieniu serc...

Myśliwi, śmiejąc się, spoglądali na siebie, nie wiedząc, do czego zmierza owa uroczysta oracja pułkownika.

— Otóż, mociumdzieju, ów tajemniczy myśliwy, któremu Amor na imię, przebił na dzisiejszem polowaniu jedną strzałą odrazu dwa serca...

Tu zerknął pułkownik w stronę Leńskiego i Krzysi.

Zafrasowana para spłonęła rumieńcem i wymieniła porozumiewawcze spojrzenie. —

— Był aliści świadek tego polowania, który o tem, co widział, mówić nie będzie, aby innym nie robić oskomy, mociumdzieju, pozwoli sobie atoli wznieść toast za pomyślność owej szczęśliwej, dotkniętej grotem Amora pary, obecnej tu, panny Krystyny Zdanowickiej i Ryszarda Leńskiego, miłego i kochanego sąsiada!

Wujaszku!... Krzysia ręką zasłoniła oczy, ale pułkownik uniósł ją w górę, postawił na stole, szepcąc do ucha:

— To za mój brzuszek, filutko!...

KĄCIK ROZRYWKOWY

pod kierownictwem Warsz. Klubu Szaradzistów.

DRUGI KONKURS KWARTALNY
(dokończenie)

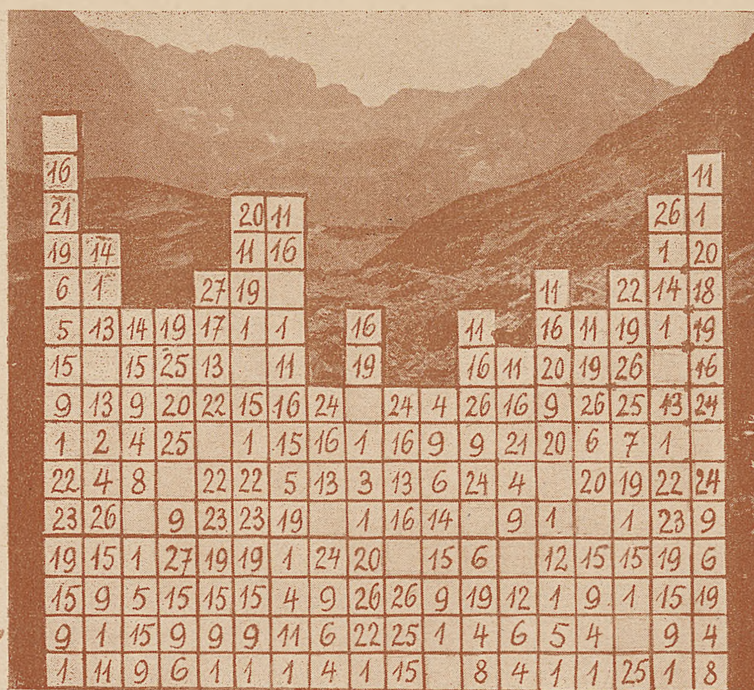
Rozwiązania zadań nadsyłać należy w terminie *trzytygodniowym*, licząc od daty otrzymania numeru. O ile kto z Czytelników z jakichkolwiek przeszkód nie mógł nadesłać rozwiązań z n-rów kwietniowego i majowego, może to jeszcze uczynić obecnie, nadsyłając rozwiązania z całego konkursu bieżącego, w terminie wyż. podanym.

8. SZARADA *(4 pkt.)*.

Przyjacielu-!
— Ożeniłeś się bracie?
Pyszny-ś jak zwycięzca,
którego czoło wieniec
ozdabia laurowy!
Ze szczęścia znaleźć sobie
nie możesz już miejsca?
Radosne słychać wszędzie
trzy-siódme Twej mowy?...
— Z czego się cieszysz? — pytam. —
Azali Ci snadnie
nie przyjdzie płakać jeszcze,
kiedy żonka zdradnie
oszuka i w *„trójkącie“*..
Ty będziesz tym „trzecim",
lub, puści „kantem" Ciebie, —
za innym poleci?...
Jeśli-ś stanowczy, rykniesz
hardo w takim razie:
„*Całeś!* Zawsze, *sześć-trzecio*,
stałeś na mej zdradzie!..."
Jeśli-ś zaś słaby, legniesz
w miękkim *czwartym-piątym*
i ze smętkiem przeglądać.
będziesz puste kąty!...
— A może prządka życia
lepszą nić Ci wije
i przed oczyma przyszłość
jaśniejszą los kryje:
Żona o stroje ciągle
brzęczy, jak *raz-szósty* —
i tem więcej, im bardziej
trzos Twój będzie... pusty!...
Pomyślności *trzy z drugiem*
życzę na tej drodze.
Oby Cię owe szczęście
nie zawiodło srodze!
Ja Ci z mej strony jednak
daję zapewnienie,
że sam się przyjacielu
nigdy... nie ożenię!...

W. Lubnauer, czł. Kl. Sz.

10. W GÓRY! W GRÓRY! MIŁY BRACIE!... *(6 pkt.)*



W miejsce cyfr i białych pól proszę wstawić litery, aby w rzędach pionowych, powstało 18 nazw polskich szczytów tatrzańskich. Litery, które wypadną w białych polach, odczytane po porządku wedle rzędów pionowych, dadzą rozwiązanie, które podać należy bez wyrazów. Dla ułatwienia podajemy wyrazy pomocnicze:

3, 25, 5, 7, 16, 20, 26, 4, 26 — miasto, pow. nad Brdą (poznańskie);

21, 19, 6, 14 — miasto, pow. nad Wartą (poznańskie);

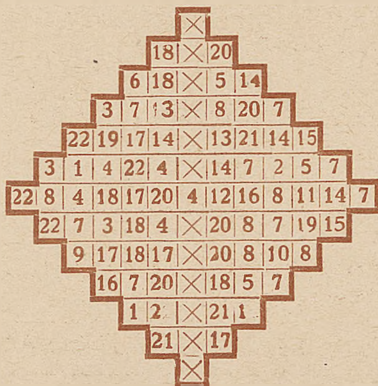
20, 22, 19, 24, 9, 2, 27 — l. dopływ Dniestru;

15, 1, 11, 13, 16 — miasto nad Notecią (pow. wyrzyski);

10, 6, 26, 23, 18, 16, 12 — miasteczko przy ujściu Bystrzycy do Dniestru.

„Sport“.

9. ARYTMOGRAF *(3 pkt.)*



Liczby i gwiazdki proszę zastąpić literami, aby w rzędach poziomych powstały wyrazy o znaczeniu:

1. Spółgłoska. — 2. Ryba. — 3. List żelazny. — 4. Imię żeńskie. — 5. Mówiący bardzo mądrze. — 6. Przedstawienie jednej osoby drugiej. — 7. Rozwiązanie.— 8. Okryty pleśnią. — 9. Statek holujący w 1. mm. — 10. Wonne, zasuszone strąki używane, jako przyprawa. — 11. Owłosienie u powiek. — 12. Liczba. — 13. Samogłoska. Środkowy rząd pionowy da rozwiązanie.

Z. Ptaszyńska, czł. Kl. Sz.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ
czwartego Konkursu Kwartalnego

ogłoszonego w n-rach październikowym, listopadowym i grudniowym z r. z. „E.L.", na który złożyły się następujące zadania (z wyszczególnieniem ilości punktów za rozwiązania):

1.	Szarada *(H. Mokrzycka)*	3
2.	Logogryf *(E. Wieliczko)*	3
3.	Zagadki *(N. K. Kozłowski)*	3
4.	Logogryf *(L. Ciesielski)*	2
5.	Zagadka *(A. Mieczkowski)*	3
6.	Szarada *(inż. J. Modrzejewski)*	6
7.	Konikówka *(N. K. Kozłowski)*	6
8.	Krzyżówka *(K. Kolaczkowa)*	4
9.	Logogryf *(M. Waksmundzka)*	6
10.	Szarada *(H. Mokrzycka)*	4
11.	Łamigłówka *(E. Wieliczko)*	3

Ogólna ilość punktów możliwych do zdobycia wynosiła zatem 43.

1. SZARADA: *Echa Leśne.*

2. LOGOGRYF: *Pamięci bohaterów Ż. W.*

(Wyrazy' kretowina, pochybnie, krasawica, strażnica, egalizuję, urgowanie, spółpomoc, niewiasta, perepetje).

3. ZAGADKI: a) *Królestwo pszczół* — b) *Praczka.* — c) *Wół.*

4. LOGOGRYF WZROK.: *Pora jesienna.*

5. ZAGADKA: *Ikar, raki, Kair, Irak.*

6. SZARADA: *Polacy na zwycieskim samolocie.*

7. KONIKÓWKA:

Śmierć! przewłaszczycielom, tyranom,
co nasze kalają trony!
Co brudem ołtarze ścielą!
Bóg wziął nasze obrony:
Śle wolność ludom i stanom,
Czas pomsty za bezprawie,
Czas pomsty lećcie żórawie,
roznieście na polach skry
z płonących chat!

C. d. w nrze następnym.

HALLO! SZARADZIŚCI!

Już wyszedł z druku numer czerwcowy „ROZRYWKI" (org. Klubu Szar.), zawierający wiele ciekawych szarad konkursowych. Kwartalna prenumerata *tylko 2 zł*. Adres: Klub Szaradzistów, Warszawa, ul. Kopernika, 42 m. 13. Konto PKO. Nr. 2048. *Żądajcie numerów okazowych!*

M. Sł.

Redaktor: LEONARD CHOCIŁOWSKI   Wydawca: ZWIĄZEK ZAWODOWY LEŚNIKÓW RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

HUMOR

— Ja tobie radzę Moryc, żeby ty się ożeniłeś z wdową po Ichensonie.

— Wykluczone, boj a jestem o wiele grubszy od Ichensona i nie mogłemby chodzić w jego ubraniu.

— Dzieci na miłość boską, co wy wyrabiacie? Dlaczego Stefek połknął cztery dziesięciogroszówki?

— Bo, babciu, bawiliśmy się w dworzec kolejowy, a Stefek był właśnie automatem do peronowych biletów.

— Cóż pan sobie wyobraża? Pan mnie ma za skończonego idjatę!

— O nie... Nigdy nie osądzam ludzi według ich wyglądu!

W RESTAURACJI.

— Proszę spojrzeć — w tym sosie pływa skrzydełko muchy.

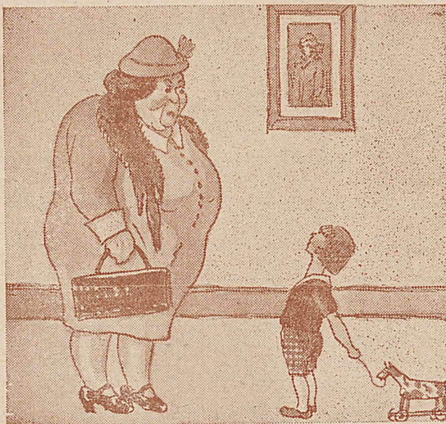
— Szanowny pan zechce poszukać lepiej, to się i reszta znajdzie.

ZE ŚWIATA DZIECIĘCEGO.

— Teraz, Marylko, będziemy się bawili w Adama i Ewę.

— Dobrze, Heniu, ale jak to będzie?

— A tak, że ty mi dasz jabłko, a ja go zjem.



— Powiedz mi Stasiu, co będziesz robił, kiedy będziesz taki duży, jak ja?

— Postaram się schudnąć proszę Cioci.

PRZEZORNY KAZIO.

— Maleńki grubasek, Kazio o godzinie dwunastej w nocy stoi wspięty na paluszkach przy bramie i usiłuje dosięgnąć ręką dzwonka. Jakaś starsza pani przechodząc tamtędy, przychodzi malcowi z pomocą. Kazio kłania się grzecznie.

— Dziękuję balcho, a tera prose pani uciekajmy!

KAJAK.

— Czy pani Walentowa wie, że mój Jędrek ma teraz kajak?

— Chryste Panie! A w jakiem miejscu mu się to świństwo zrobiło.

CENNA PAMIĄTKA

— Pani zapewne ma jakąś pamiątkę w tym medaljonie?

— Tak włosy mego męża.

— Przecież mąż pani jeszcze żyje!

— Owszem, ale włosów już niema.

DLA RÓWNOWAGI

— Pani z miasta: — Panie leśniczy, niech mi pan powie, dlaczego psy myśliwskie podczas biegu zazwyczaj wywieszają język?

Leśniczy: — To dlatego, proszę pani, że chcą zachować równowagę ze zwieszającym ogonem.

Zwracamy uwagę na zmianę adresu!

WARUNKI PRENUMERATY

„ECH LEŚNYCH"

	Zwyczajnej Zł. gr.	Ulgowej (dla Leśników) Zł. gr.
Kwartalnie	4.—	3.—
Półrocznie	7.50	5.50
Rocznie	14.—	10.50
Zagranicą kwartalnie	6 50	5.50

Cena numeru pojedyńczego 1 zł. 40 gr.

KONTO CZEKOWE

P. K. O. Nr. 5.755.

Adres: Warszawa, Żórawia Nr 13

Telefon: 9-44-41

Cena niniejszego numeru w Warszawie i na prowincji 1 zł. 40 gr.

Żądać we wszystkich kioskach miejskich i kolejowych T-wa „Ruch".

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: WARSZAWA, ŻÓRAWIA 13, TELEFON 9-44-41

Z.—393 Druk Zakł. Druk. W. Piekarniaka, Ordynacka 3, tel. 644-59.